 Czas czytania: 102 min.

„A zatem ja jestem materiałem, a ksiądz niech będzie krawcem”. Tymi słowami 2 października 1854 roku w Becchi dwunastoletni chłopiec powierzył się księdzu Bosko. Dominik Savio przybył do Valdocco 29 października i pozostał tam niecałe trzy lata: zmarł 9 marca 1857 roku. Był to krótki czas, a jednak wystarczający, by ziarno dojrzało i trafiło do spichlerza Pana. Na kartach pism księdza Bosko nie jawi się jako młodzieniec oderwany od codziennego życia, lecz jako kolega, który potrafił uczynić z nauki, modlitwy, przyjaźni i zabawy drogę do świętości. Jego „Chcę zostać świętym” wciąż przemawia do każdego chłopca: „Skoro jemu się udało, dlaczego nie mnie?”. Przedstawiamy pełny tekst według czwartego wydania (1878), ostatniego przygotowanego osobiście przez autora.

ROZDZIAŁ I. Miejsce urodzenia — Usposobienie tego młodzieńca — Jego pierwsze akty cnoty

ROZDZIAŁ II. Jego postępowanie w Murialdo — Piękne przykłady cnoty — Uczęszczanie do szkoły w tej miejscowości

ROZDZIAŁ III. Zostaje dopuszczony do Pierwszej Komunii — Przygotowanie — Skupienie i postanowienia z tego dnia

ROZDZIAŁ IV. Szkoła w Castelnuovo d’Asti — Budujący epizod — Mądra odpowiedź na złą radę

ROZDZIAŁ V. Jego postępowanie w szkole w Castelnuovo d’Asti — Słowa nauczyciela

ROZDZIAŁ VI. Szkoła w Mondonio — Znosi poważne oszczerstwo

ROZDZIAŁ VII. Moje pierwsze spotkanie z nim — Ciekawe epizody przy tej okazji

ROZDZIAŁ VIII. Przybywa do Oratorium św. Franciszka Salezego — Jego pierwszy sposób życia

ROZDZIAŁ IX. Nauka łaciny — Ciekawe wydarzenia — Zachowanie w szkole — Zapobiega bójce — Unika niebezpieczeństwa

ROZDZIAŁ X. Jego postanowienie zostania świętym

ROZDZIAŁ XI. Jego gorliwość o zbawienie dusz

ROZDZIAŁ XII. Epizody i jego miły sposób obcowania z kolegami

ROZDZIAŁ XIII. Jego duch modlitwy — Nabożeństwo do Matki Bożej — Miesiąc Maryi

ROZDZIAŁ XIV. Częste przystępowanie do świętych Sakramentów Spowiedzi i Komunii

ROZDZIAŁ XV. Jego pokuty

ROZDZIAŁ XVI. Umartwienie wszystkich zmysłów zewnętrznych

ROZDZIAŁ XVII. Towarzystwo Niepokalanego Poczęcia

ROZDZIAŁ XVIII. Jego szczególne przyjaźnie — Relacje z młodym Camillem Gavio

ROZDZIAŁ XIX. Jego relacje z młodym Giovannim Massaglia

ROZDZIAŁ XX. Szczególne łaski i niezwykłe wydarzenia

ROZDZIAŁ XXI. Jego myśli o śmierci i przygotowanie do świętej śmierci

ROZDZIAŁ XXII. Jego troska o chorych — Opuszcza Oratorium — Słowa wypowiedziane przy tej okazji

ROZDZIAŁ XXIII. Żegna się z kolegami

ROZDZIAŁ XXIV. Przebieg choroby — Ostatnia spowiedź — Przyjmuje Wiatyk — Budujące wydarzenia

ROZDZIAŁ XXV. Jego ostatnie chwile i cenna śmierć

ROZDZIAŁ XXVI. Wiadomość o jego śmierci — Słowa profesora ks. Picco do uczniów

ROZDZIAŁ XXVII. Naśladowanie cnót Savio — Wielu poleca mu się, aby otrzymać łaski z nieba, i zostają wysłuchani — Wspomnienie dla wszystkich

Najdrożsi chłopcy,

Wielokrotnie prosiliście mnie, najdrożsi chłopcy, abym napisał wam coś o waszym koledze DOMINIKU SAVIO; uczyniłem *więc, co mogłem, aby spełnić to wasze pobożne pragnienie. Oto jego życie, opisane z tą zwięzłością i prostotą, które — jak wiem — przypadną wam do upodobania.*

Dwie trudności stały na przeszkodzie opublikowaniu tej pracy. Pierwszą była krytyka, na którą zwykle naraża się ten, kto pisze o wydarzeniach mających wielu żyjących świadków. Sądzę, że przezwyciężyłem tę trudność, starając się opowiadać wyłącznie o rzeczach widzianych przez was albo przeze mnie, a prawie wszystkie z nich przechowuję zapisane i poświadczone waszymi własnymi podpisami.

Drugą przeszkodą była konieczność częstego mówienia o sobie. Ponieważ ten młodzieniec żył około trzech lat w tym domu, nieraz muszę przytaczać wydarzenia, w których sam brałem udział. Sądzę, że i tę trudność przezwyciężyłem, trzymając się obowiązku historyka, którym jest zapisywanie prawdy o faktach bez względu na osoby. Jeśli jednak znajdziecie jakiś epizod, w którym mówię o sobie z pewnym zadowoleniem, przypiszcie to wielkiej miłości, jaką żywiłem do zmarłego przyjaciela i jaką żywię do was wszystkich; miłości, która każe mi otwierać przed wami wnętrze mego serca, jak czyniłby ojciec rozmawiający ze swymi umiłowanymi dziećmi.

Ktoś z was może zapytać, dlaczego napisałem życie DOMINIKA SAVIO, a *nie innych chłopców, którzy żyli wśród nas, ciesząc się opinią wybitnej cnoty. To prawda, moi drodzy, że Opatrzność Boża raczyła zesłać nam wiele wzorów cnoty; byli* nimi Gabriele Fascio, Luigi Rua, Camillo Gavio, Giovanni Massaglia i *inni. Jednak ich czyny nie były równie znane i znamienne jak czyny SAVIO,* którego *sposób życia był powszechnie uznawany za niezwykły. Jeśli jednak Bóg udzieli mi zdrowia i łaski, zamierzam zebrać również czyny tych waszych cnotliwych towarzyszy, aby zaspokoić wasze i moje pragnienie, dając wam je do czytania i naśladowania w tym, co odpowiada waszemu stanowi.*

W tym nowym wydaniu dodałem ponadto różne wiadomości, które — mam

nadzieję — uczynią je interesującym również dla tych, którzy czytali już to, co wydrukowano w poprzednich edycjach.

Tymczasem zacznijcie czerpać pożytek z tego, co będę wam opisywał, i powtarzajcie w sercu słowa św. Augustyna: „Si ille, cur non ego?” — Jeśli *mój kolega, w tym samym wieku, w tym samym miejscu, narażony na te same, a może jeszcze większe niebezpieczeństwa, znalazł jednak czas i sposób, by pozostać wiernym naśladowcą Jezusa Chrystusa, dlaczego ja nie mogę uczynić tego samego? Pamiętajcie dobrze, że prawdziwa religia nie polega na samych słowach; trzeba przejść do czynów. Kiedy więc znajdziecie coś godnego podziwu, nie poprzestawajcie na mówieniu: To jest piękne, to mi się podoba. Powiedzcie raczej: będę się starał czynić to, co czytając o innych, budzi we mnie podziw.*

Niech Bóg udzieli wam i wszystkim czytelnikom tej książeczki zdrowia i łaski, abyście odnieśli pożytek z tego, co w niej przeczytacie; a Najświętsza Dziewica, której młody SAVIO *był gorliwym czcicielem, niech wyjedna nam łaskę, abyśmy mogli stanowić jedno serce i jedną duszę w miłowaniu naszego Stwórcy, który jako jedyny godzien jest miłości ponad wszystko i wiernej służby przez wszystkie dni naszego życia.*

OŚWIADCZENIE

W posłuszeństwie dekretowi świętej pamięci papieża Urbana VIII oświadczam, że wszystkim nadprzyrodzonym wydarzeniom opisanym w tej książce nie zamierzam przypisywać żadnej innej wartości poza powagą ludzkiego świadectwa, dopóki Stolica Apostolska nie zatwierdzi ich swoją nieomylną władzą.

ROZDZIAŁ I. Miejsce urodzenia — Usposobienie tego młodzieńca — Jego pierwsze akty cnoty

Rodzicami chłopca, którego życie podejmujemy się opisać, byli Carlo Savio i jego żona Brigida, ubodzy, lecz uczciwi mieszkańcy[1] Castelnuovo d'Asti[2], miejscowości oddalonej o dziesięć mil od Turynu. W 1841 roku, znajdując się w wielkim niedostatku i bez pracy, dobrzy małżonkowie przenieśli się do Riva[3], wioski oddalonej o dwie mile od Chieri, gdzie mąż podjął pracę kowala, rzemiosło, którego nauczył się w młodości. Podczas ich pobytu w tej miejscowości Bóg pobłogosławił ich małżeństwu, dając im syna, który miał stać się ich pociechą. Urodził się 2 kwietnia 1842 roku. Gdy zanieśli go, aby został odrodzony w wodach chrztu, nadali mu imię Dominik; okoliczność ta, choć sama w sobie obojętna, stała się później dla naszego chłopca przedmiotem głębokiej refleksji, jak zobaczymy.

Dominik kończył drugi rok życia, gdy z przyczyn rodzinnych jego rodzice postanowili powrócić w rodzinne strony i zamieszkali w Murialdo, przysiółku Castelnuovo d'Asti.

Cała troska dobrych rodziców była skierowana ku zapewnieniu dziecku chrześcijańskiego wychowania; już wówczas stanowiło ono przedmiot ich radości. Natura obdarzyła go dobrym usposobieniem i sercem naprawdę stworzonym do pobożności. Z niezwykłą łatwością nauczył się modlitw porannych i wieczornych i już w wieku czterech lat odmawiał je sam. Nawet w tym wieku, w którym dzieci z natury bywają roztargnione, był we wszystkim posłuszny matce; a jeśli czasem od niej odchodził, to tylko po to, by schronić się w jakimś zakątku domu i móc swobodniej modlić się w ciągu dnia.

„Od najwcześniejszego dzieciństwa — stwierdzają jego rodzice — w wieku, w którym dzieci z braku rozwagi są dla matek ciągłym utrapieniem i zmartwieniem, kiedy wszystko chcą widzieć, dotykać i zazwyczaj psują, nasz Dominik nigdy nie sprawił nam najmniejszej przykrości. Nie tylko był posłuszny i gotowy spełnić każde nasze polecenie, lecz starał się uprzedzać to, co — jak zauważał — mogło sprawić nam przyjemność".

Zabawne, a zarazem miłe było powitanie, jakie urządzał ojcu, gdy widział go wracającego do domu po zwykłej pracy. Biegł mu naprzeciw, brał go za rękę, a czasem rzucał mu się na szyję. „Drogi tato — mówił — jaki jesteś zmęczony! Prawda? Tak ciężko pracujesz dla mnie, a ja nie potrafię niczego innego, jak tylko sprawiać ci kłopot. Będę prosił dobrego Boga, aby dał ci zdrowie i uczynił mnie dobrym”. Mówiąc to, prowadził go do domu, podawał mu krzesło lub stołek, aby usiadł, dotrzymywał mu towarzystwa i obsypywał go pieszczotami. „To — mówi ojciec — było dla mnie słodką pociechą w moim trudzie i niecierpliwie czekałem, by wrócić do domu i złożyć czuły pocałunek na moim Dominiku, który posiadał całą miłość mego serca”.

Jego pobożność rosła szybciej niż wiek; mając zaledwie cztery lata, nie potrzebował już przypominania o modlitwach porannych i wieczornych, przed posiłkiem i *po nim ani o* Aniele Pańskim; przeciwnie, sam zapraszał domowników do modlitwy, jeśli o niej zapomnieli.

Pewnego dnia zdarzyło się, że domownicy, rozproszeni jakimś zamieszaniem, zasiedli od razu do obiadu. „O tato — powiedział uważny Dominik — jeszcze nie poprosiliśmy o błogosławieństwo”. Innym razem pewien gość, przyjęty w ich domu, podobnie zaczął jeść bez żadnego aktu religijnego. Dominik, nie śmiejąc go upomnieć, zasmucony wycofał się w kąt domu. Gdy później rodzina zapytała go o powód tego niezwykłego zachowania, odpowiedział: „Nie odważyłem się usiąść przy stole z kimś, kto zabiera się do jedzenia jak zwierzęta Pana, nie dziękując Mu za nasz pokarm”. Powiedziawszy to, sam uczynił znak krzyża świętego i odmówił zwykłą modlitwę.

ROZDZIAŁ II. Jego postępowanie w Murialdo — Piękne przykłady cnoty — Uczęszczanie do szkoły w tej

miejscowości

Są tu rzeczy, w które trudno byłoby uwierzyć, gdyby ten, kto je poświadcza, nie usuwał wszelkich naszych wątpliwości. Trzymam się relacji, którą kapelan tego przysiółka[4] uprzejmie mi przekazał o swoim drogim uczniu.

„W pierwszych dniach po moim przybyciu do przysiółka Murialdo — mówi — często widywałem chłopca w wieku około pięciu lat, przychodzącego do kościoła w towarzystwie matki. Pogoda jego oblicza, skromność postawy i pobożne zachowanie zwracały na niego uwagę moją i innych. Jeśli po przybyciu do kościoła zastawał go zamkniętego, rozpoczynał się wdzięczny widok. Zamiast biegać lub hałasować samemu czy z innymi, jak zwykle czynią chłopcy w tym wieku, szedł do progu drzwi, klękał, pochylał główkę i ze złożonymi przed piersią niewinnymi rączkami modlił się gorliwie, dopóki kościoła nie otwarto. Trzeba zauważyć, że czasem ziemia była pokryta błotem albo padał śnieg czy deszcz; on jednak nie zwracał na to uwagi i mimo wszystko klękał tam do modlitwy. Zdziwiony i poruszony pobożną ciekawością, chciałem wiedzieć, kim jest ten chłopiec, który stał się przedmiotem mojego podziwu, i dowiedziałem się, że jest synem kowala Carla Savio.

„Gdy spotykał mnie na ulicy, już z daleka okazywał radość, a z prawdziwie anielskim wyrazem twarzy z szacunkiem pozdrawiał mnie, zanim ja zdążyłem go pozdrowić. Zaczął również chodzić do szkoły, a ponieważ był zdolny i bardzo pilny w wypełnianiu obowiązków, w krótkim czasie uczynił znaczne postępy w nauce. Musiał przebywać z niesfornymi i roztargnionymi chłopcami, ale nigdy nie zdarzyło mi się widzieć go w kłótni. Jeśli dochodziło do jakiegoś sporu, cierpliwie znosił obelgi kolegów i natychmiast od nich odchodził. Nie pamiętam też, bym widział go uczestniczącego w niebezpiecznych zabawach lub sprawiającego najmniejsze zakłócenie w szkole. Wielu kolegów zapraszało go, aby wraz z nimi płatał figle starszym osobom, rzucał kamieniami, kradł cudze owoce lub wyrządzał szkody na polach; on jednak umiał taktownie potępić ich zachowanie i odmawiał udziału”.

„Pobożność, którą okazywał już, modląc się na progu kościoła, nie zmniejszała się wraz z wiekiem. Mając pięć lat, umiał już służyć do Mszy świętej i czynił to z największym nabożeństwem. Chodził na nią codziennie; jeśli ktoś inny chciał służyć, słuchał Mszy, w przeciwnym razie sam usługiwał przy ołtarzu z postawą najbardziej budującą. Ponieważ był jeszcze mały i niskiego wzrostu, nie mógł przenosić mszału;

zabawnie było patrzeć, jak z zapałem zbliża się do ołtarza, staje na palcach, wyciąga ręce jak najdalej i wszelkimi siłami próbuje dosięgnąć pulpitu. Jeśli kapłan lub ktoś inny chciał sprawić mu największą przyjemność, nie powinien sam przenosić mszału, lecz przysunąć pulpit na tyle, by Dominik mógł go dosięgnąć; wtedy z radością przenosił go na drugą stronę ołtarza”.

„Często się spowiadał, a gdy tylko potrafił odróżnić chleb niebieski od zwykłego chleba, dopuszczono go do Komunii świętej, którą przyjmował z prawdziwie godnym podziwu nabożeństwem. Widząc te piękne dzieła, których łaska Boża dokonywała w tej niewinnej duszy, nieraz mówiłem sobie: Oto chłopiec rokujący najlepsze nadzieje. Oby Bóg otworzył mu drogę, na której tak cenne owoce mogłyby dojrzeć”. Tyle kapelan Murialdo.

ROZDZIAŁ III. Zostaje dopuszczony do Pierwszej Komunii — Przygotowanie — Skupienie i postanowienia z tego dnia

Dominikowi niczego nie brakowało, aby zostać dopuszczonym do Pierwszej Komunii. Znał na pamięć cały mały katechizm, miał jasne pojęcie o tym wzniosłym sakramencie i płonął pragnieniem przystąpienia do niego. Jedynie wiek stanowił przeszkodę, gdyż na wsi zazwyczaj nie dopuszczano dzieci do Pierwszej Komunii przed ukończeniem jedenastego lub dwunastego roku życia. Savio miał dopiero siedem lat. Oprócz dziecięcego wyglądu był drobnej budowy, co sprawiało, że wyglądał jeszcze młodziej; kapelan wahał się więc, czy go dopuścić. Zasięgnął także rady innych kapłanów, którzy po starannym rozważeniu przedwczesnej dojrzałości jego poznania, wykształcenia i żywych pragnień odłożyli na bok wszelkie trudności i dopuścili go po raz pierwszy do pokarmu aniołów.

Trudno wyrazić uczucia świętej radości, którymi ta wiadomość napełniła jego serce. Pobiegł do domu i z uniesieniem powiedział o tym matce; raz się modlił, raz czytał;

spędzał wiele czasu w kościele przed Mszą i po niej, a wydawało się, że jego dusza już mieszka z aniołami nieba. W przeddzień wyznaczonego dnia Komunii zawołał matkę. „Mamo — powiedział — jutro przystępuję do mojej Komunii. Przebacz mi wszystkie przykrości, jakie sprawiłem ci w przeszłości. Na przyszłość obiecuję być dużo lepszy; będę uważał w szkole, będę posłuszny, uległy i pełen szacunku wobec tego, co mi rozkażesz”. Powiedziawszy to, wzruszył się i zaczął płakać. Matka, która otrzymywała od niego jedynie pociechy, także się wzruszyła i z trudem powstrzymując łzy, pocieszała go słowami: „Idź spokojny, drogi Dominiku, wszystko jest przebaczone. Proś Boga, aby zawsze zachował cię dobrym; módl się do Niego także za mnie i za twojego ojca”.

Rankiem owego pamiętnego dnia wstał wcześnie i ubrany w najlepsze odzienie udał się do kościoła, który zastał jeszcze zamknięty. Jak czynił już wcześniej, ukląkł na progu i modlił się, dopóki nie nadeszły inne dzieci i nie otwarto drzwi. Spowiedź, przygotowanie i dziękczynienie po Komunii sprawiły, że nabożeństwo trwało pięć godzin. Dominik wszedł do kościoła pierwszy i wyszedł z niego ostatni. Przez cały ten czas jakby już nie wiedział, czy znajduje się w niebie, czy na ziemi.

Dzień ten pozostał dla niego na zawsze pamiętny i można go nazwać prawdziwym początkiem, a raczej dalszym ciągiem życia, które może służyć za wzór każdemu chrześcijaninowi. Kilka lat później, gdy skłaniano go do mówienia o Pierwszej Komunii, na jego twarzy wciąż pojawiała się najżywsza radość. „Och! — mawiał — to był dla mnie najpiękniejszy i wielki dzień”. Zapisał kilka postanowień, które troskliwie przechowywał w książeczce do nabożeństwa i często czytał. Miałem je w rękach i przytaczam tutaj w ich pierwotnej prostocie. Brzmiały następująco: „Postanowienia uczynione przeze mnie, Dominika Savio, w roku 1849, kiedy przystąpiłem do Pierwszej Komunii, mając siedem lat.

1. Będę się bardzo często spowiadał i będę przyjmował Komunię świętą za każdym razem, gdy spowiednik mi na to pozwoli.
2. Chcę święcić dni świąteczne.
3. Moimi przyjaciółmi będą Jezus i Maryja.
4. Raczej śmierć niż grzech”.

Te postanowienia, które często powtarzał, stały się jakby przewodnikiem jego czynów aż do końca życia.

Jeśli wśród tych, którzy będą czytać tę książeczkę, znajdzie się ktoś, kto ma dopiero przystąpić do Pierwszej Komunii, gorąco pragnę zalecić mu, aby obrał młodego

Savio za wzór. Z całych sił polecam także ojcom i matkom rodzin oraz wszystkim, którzy sprawują jakąś władzę nad młodzieżą, aby przywiązywali największą wagę do tego aktu religijnego. Bądźcie przekonani, że dobrze przeżyta Pierwsza Komunia kładzie mocny fundament moralny pod całe życie; trudno byłoby znaleźć kogoś, kto dobrze spełnił ten uroczysty obowiązek, a nie prowadził potem dobrego i cnotliwego życia. Przeciwnie, liczy się tysiące niesfornych młodych ludzi, którzy są udręką rodziców i tych, którzy się nimi zajmują; lecz gdy dotrze się do korzenia zła, okazuje się, że ich złe postępowanie zaczęło się ujawniać przy małym lub żadnym przygotowaniu do Pierwszej Komunii. Lepiej ją odłożyć, a nawet lepiej wcale do niej nie przystępować, niż uczynić to źle.

ROZDZIAŁ IV. Szkoła w Castelnuovo d’Asti — Budujący epizod — Mądra odpowiedź na złą radę

Po ukończeniu pierwszych klas Dominik już wcześniej powinien był zostać posłany gdzie indziej, aby kontynuować naukę, czego nie mógł czynić przy wiejskiej kapelanii. Dominik tego pragnął i bardzo leżało to również na sercu jego rodzicom. Ale jak tego dokonać, skoro zupełnie brakowało środków finansowych? Bóg, najwyższy Pan wszystkich rzeczy, zatroszczy się o potrzebne środki, aby to dziecko mogło podążać drogą, do której je powołuje.

„Gdybym był ptakiem — mówił czasem Dominik — chciałbym *rano i wieczorem latać do Castelnuovo i w ten sposób dalej chodzić do szkoły”.*

Jego gorące pragnienie nauki pozwoliło mu przezwyciężyć wszelkie trudności i postanowił uczęszczać do miejskiej szkoły, choć była oddalona o prawie dwie mile. I oto chłopiec niespełna dziesięcioletni podejmuje drogę sześciu mil dziennie, idąc do szkoły i wracając z niej. Czasem dokuczał wiatr, paliło słońce, była błotnista droga albo ulewny deszcz. Nic to: znosił wszystkie niedogodności i pokonywał każdą

trudność. Widział w tym posłuszeństwo rodzicom i środek do zdobycia wiedzy prowadzącej do zbawienia, a to wystarczało, by z radością znosił wszelkie niewygody. Pewnego dnia starszy człowiek zobaczył Dominika idącego samotnie do szkoły o drugiej po południu w palącym słońcu. Chcąc niejako dodać mu otuchy, podszedł do niego i odezwał się tak:

„Mój drogi, nie boisz się chodzić zupełnie sam tymi drogami?”

„Nie jestem sam. Mam Anioła Stróża, który towarzyszy mi na każdym kroku”.

„Przynajmniej droga musi być dla ciebie ciężka w takim upale, skoro musisz ją pokonywać cztery razy dziennie!”

„Nic nie jest ciężkie ani męczące, gdy pracuje się dla pana, który bardzo dobrze płaci”.

„A kto jest tym panem?”

„Bóg Stwórca, który wynagradza nawet kubek wody podany z miłości do Niego”.

Ten sam człowiek opowiadał później to wydarzenie swoim przyjaciołom i zawsze kończył słowami: „Chłopiec tak młody, który już żywi takie myśli, z pewnością da o sobie mówić na drodze, którą obierze”.

W drodze do szkoły i z powrotem znalazł się kiedyś z winy kilku kolegów w poważnym niebezpieczeństwie dla duszy.

W letnie upały wielu chłopców ma zwyczaj kąpać się w rowach, strumieniach, stawach i podobnych miejscach. Gdy kilku chłopców znajduje się razem, rozebranych, a czasem kąpiących się w miejscach publicznych, powstaje niebezpieczeństwo dla ciała, tak że niestety nieraz trzeba opłakiwać utonięcia chłopców i innych osób, które kończą życie w wodzie; lecz niebezpieczeństwo dla duszy jest o wiele większe. Ilu młodych ludzi opłakuje utratę niewinności i wskazuje jako jej przyczynę wspólne kąpiele z takimi kolegami w owych nieszczęsnych miejscach!

Kilku szkolnych kolegów Savio miało zwyczaj tam chodzić. Nie wystarczało im, że chodzili sami; chcieli zabrać także jego i raz udało im się go namówić. Gdy jednak został pouczony, że jest to rzecz zła, głęboko się zasmucił; odtąd nie sposób było skłonić go do powrotu, a nieraz ubolewał i płakał nad niebezpieczeństwem, na jakie

naraził duszę i ciało. Mimo to dwóch najbardziej śmiałych i gadatliwych kolegów podjęło nową próbę, mówiąc:

„Dominiku, pójdziesz z nami trochę się zabawić?”

„Jak zabawić?”

„Pójdziemy popływać”.

„O nie, nie pójdę. Nie umiem pływać; boję się, że utonę”.

„Chodź, to wielka przyjemność. Kto pływa, nie czuje już gorąca, nabiera dobrego apetytu i zdrowia”.

„Ale ja boję się utonąć”.

„Daj spokój, nie bój się. Nauczymy cię wszystkiego, co trzeba. Najpierw będziesz patrzył, jak my to robimy, a potem zrobisz tak samo. Zobaczysz, jak poruszamy się w wodzie niczym ryby i robimy ogromne skoki”.

„Ale czy nie jest grzechem chodzić do miejsc, gdzie jest tyle niebezpieczeństw?”

„Wcale nie; przecież wszyscy tam chodzą”.

„To, że wszyscy tam chodzą, nie dowodzi, że nie jest to grzechem”.

„Jeśli nie chcesz wchodzić do wody, możesz na początek tylko patrzeć na innych”.

„Dość; zupełnie mnie zmieszaliście i nie wiem, co powiedzieć”.

„Chodź, chodź; zaufaj nam. Nie ma w tym nic złego, a my uchronimy cię od wszelkiego niebezpieczeństwa”.

„Zanim zrobię to, co mówicie, chcę poprosić mamę o pozwolenie. Jeśli powie tak, pójdę; jeśli nie, nie pójdę”.

„Cicho bądź, głuptasie, i strzeż się, żebyś powiedział o tym matce. Na pewno ci nie pozwoli; co więcej, powie naszym rodzicom, a oni ochłodzą nas porządną rózgą”.

„O! Jeśli mama nie pozwala mi iść, to znak, że jest to rzecz zła; dlatego nie pójdę. A jeśli chcecie, żebym powiedział szczerze, wyznam wam, że dałem się oszukać i raz

tam poszedłem, ale nigdy więcej tego nie zrobię; bo w takich miejscach zawsze istnieje niebezpieczeństwo utonięcia albo obrażenia Pana Boga w inny sposób. I nie mówcie mi już więcej o pływaniu. Jeśli wasi rodzice są temu przeciwni, wy także nie powinniście tego robić, ponieważ Pan karze dzieci, które postępują wbrew woli ojca i matki”.

Tak nasz Dominik, dając mądrą odpowiedź złym doradcom, uniknął wielkiego niebezpieczeństwa, w które gdyby się rzucił, być może utraciłby bezcenny skarb niewinności, za czym poszłoby tysiąc smutnych następstw.

ROZDZIAŁ V. Jego postępowanie w szkole w Castelnuovo d’Asti — Słowa nauczyciela

Uczęszczając do tej szkoły, zaczął uczyć się właściwego postępowania wobec kolegów. Jeśli widział ucznia uważnego na lekcjach, uległego i pełnego szacunku, który dobrze znał lekcje, wykonywał zadania i był chwalony przez nauczyciela, taki chłopiec od razu stawał się przyjacielem Dominika. Jeśli natomiast był ktoś niesforny, zuchwały, zaniedbujący obowiązki, mówiący źle albo bluźniący, Dominik unikał go jak zarazy. Tych zaś, którzy byli trochę leniwi, pozdrawiał, wyświadczał im jakąś przysługę, gdy nadarzała się sposobność, ale nie nawiązywał z nimi zażyłości.

Postępowanie, jakie zachowywał w szkole w Castelnuovo d’Asti, może służyć za wzór każdemu młodemu uczniowi, który pragnie wzrastać w wiedzy i pobożności. W tej sprawie przytaczam roztropną relację napisaną przez jego nauczyciela, ks. Alessandra Allorę, który nadal jest nauczycielem miejskim w tej siedzibie okręgu. Oto jej treść:

„Z wielką przyjemnością przedstawiam mój sąd o młodym Dominiku Savio, który w krótkim czasie zdobył całą moją życzliwość, tak że pokochałem go z czułością ojca.

Chętnie odpowiadam na to zaproszenie, ponieważ wciąż zachowuję żywe, wyraźne i pełne wspomnienie jego nauki, zachowania i cnót”.

„Nie mogę powiedzieć wiele o jego postępowaniu religijnym, ponieważ mieszkając dość daleko od miejscowości, był zwolniony z udziału w zgromadzeniu religijnym; gdyby jednak w nim uczestniczył, z pewnością jaśniałby pobożnością i nabożeństwem”.

„Po ukończeniu pierwszej klasy elementarnej w Murialdo ten dobry chłopiec poprosił i bez trudu otrzymał przyjęcie do mojej drugiej klasy elementarnej, dokładnie 21 czerwca 1852 roku, w dniu poświęconym przez uczniów św. Alojzemu, opiekunowi młodzieży. Był nieco słabego i delikatnego zdrowia, o wyglądzie poważnym, lecz zarazem łagodnym, z czymś w sobie jednocześnie dostojnym i miłym. Miał usposobienie niezwykle łagodne i słodkie, a jego nastrój był zawsze równy. Jego zachowanie w szkole i poza nią, w kościele i wszędzie indziej było takie, że ilekroć wzrok, myśl czy słowa nauczyciela kierowały się ku niemu, pozostawiał on najpiękniejsze i najradośniejsze wrażenie. Dla nauczyciela można to nazwać jedną z najmilszych nagród za ciężki trud, który tak często na próżno wkłada w kształtowanie jałowych i źle usposobionych umysłów niektórych uczniów. Mogę więc powiedzieć, że był Savio z nazwiska i mądry także w rzeczywistości. Pokazywał to czynami: w nauce, pobożności, w obcowaniu z kolegami i w każdym swoim działaniu. Od pierwszego dnia, gdy wszedł do mojej szkoły, aż do końca tego roku szkolnego oraz przez cztery miesiące następnego roku czynił w nauce nadzwyczajne postępy. Stale zasługiwał na pierwsze miejsce w klasie, na inne szkolne wyróżnienia i niemal zawsze na najwyższe oceny ze wszystkich kolejno nauczanych przedmiotów. Tak pomyślnego wyniku w nauce nie należy przypisywać jedynie niepospolitej inteligencji, którą był obdarzony, lecz także jego wielkiemu umiłowaniu nauki i cnocie”.

„Na szczególny podziw zasługiwała również pilność, z jaką starał się wypełniać nawet najdrobniejsze obowiązki chrześcijańskiego ucznia, a zwłaszcza niezwykła regularność i wytrwałość w uczęszczaniu do szkoły. Choć zawsze był słabego zdrowia, codziennie przemierzał ponad cztery kilometry drogi, odbywając tę trasę cztery razy, gdy szedł do szkoły i wracał. Czynił to z zadziwiającym spokojem ducha i pogodą oblicza nawet w czasie zimowej niepogody, podczas dotkliwego mrozu, deszczu czy śniegu; nauczyciel nie mógł nie uznać tego za dowód i przykład rzadkiej zasługi. Tymczasem w tym samym roku szkolnym 1852–1853 ten zacny uczeń zachorował, a jego rodzina później zmieniła miejsce zamieszkania. Z tego powodu, ku mojemu szczeremu żalowi, nie mogłem już dalej uczyć tak drogiego ucznia.

Wielkie i piękne nadzieje, jakie w nim pokładałem, coraz bardziej przesłaniała obawa, że z powodu braku zdrowia lub środków materialnych nie będzie mógł kontynuować nauki”.

„Wielką pociechą było więc dla mnie, gdy dowiedziałem się, że został przyjęty do grona chłopców Oratorium św. Franciszka Salezego, gdyż w ten sposób otworzyła się droga do rozwinięcia jego niepospolitej inteligencji i promiennej *pobożności”. (Tyle jego nauczyciel.*)

ROZDZIAŁ VI. Szkoła w Mondonio[5] — Znosi poważne oszczerstwo

Wydaje się, że Opatrzność Boża chciała pokazać temu chłopcu, iż ten świat jest wygnaniem, na którym pielgrzymujemy z miejsca na miejsce; a może raczej pragnęła, aby dał się poznać w różnych miejscowościach i w wielu miejscach ukazał się jako szczególny wzór cnoty.

Pod koniec 1852 roku rodzice Dominika opuścili Murialdo i osiedlili się w Mondonio, małej miejscowości graniczącej z Castelnuovo. Tam kontynuował sposób życia, jaki prowadził w Murialdo i Castelnuovo; należałoby więc powtórzyć to, co pisali o nim poprzedni nauczyciele, gdyż ks. Cugliero[6], który miał go za ucznia, daje relację niemal taką samą. Wybiorę z niej tylko kilka szczególnych faktów, pomijając resztę, aby się nie powtarzać.

„Mogę powiedzieć — pisze — że w ciągu dwudziestu lat, odkąd zajmuję się nauczaniem chłopców, nie miałem żadnego, który dorównałby Savio w pobożności. Był młody wiekiem, lecz roztropny jak dojrzały człowiek. Jego pilność, wytrwałość w nauce i uprzejmość zdobywały mu sympatię nauczyciela i czyniły go radością kolegów. Gdy patrzyłem na niego w kościele, ogarniał mnie głęboki podziw na widok takiego skupienia u tak młodego chłopca. Nieraz mówiłem sobie: Oto niewinna dusza, przed którą otwierają się rozkosze raju i której uczucia już biegną, by

zamieszkać z aniołami nieba”.

Wśród szczególnych wydarzeń nauczyciel wymienia następujące:

„Pewnego dnia jeden z moich uczniów dopuścił się przewinienia tak poważnego, że winny zasługiwał na usunięcie ze szkoły. Sprawcy uprzedzili konsekwencje i udawszy się do nauczyciela, zgodnie zrzucili całą winę na dobrego Dominika. Nie mogłem uwierzyć, że jest zdolny do podobnego występku; oskarżyciele umieli jednak nadać oszczerstwu taki pozór prawdy, że musiałem im uwierzyć. Wszedłem więc do klasy, słusznie oburzony tym, co się wydarzyło; mówiłem ogólnie o winnym, po czym zwróciłem się do Savio i powiedziałem: Czy to naprawdę ty musiałeś dopuścić się takiego czynu? Czy nie zasługiwałbyś na natychmiastowe usunięcie ze szkoły? Na twoje szczęście jest to pierwszy taki występek; inaczej… niech będzie też ostatni. Dominik mógł powiedzieć jedno słowo w swojej obronie i jego niewinność zostałaby poznana. Lecz milczał, pochylił głowę i jak ktoś słusznie skarcony nie podniósł już oczu”.

„Ale Bóg chroni niewinnych. Następnego dnia odkryto prawdziwych winowajców i w ten sposób niewinność Dominika została jasno wykazana. Pełen żalu z powodu nagan udzielonych domniemanemu sprawcy, wziąłem go na bok i powiedziałem: Dominiku, dlaczego od razu nie powiedziałeś mi, że jesteś niewinny? Dominik odpowiedział: Ponieważ tamten chłopiec, już winny innych przewinień, mógłby zostać usunięty ze szkoły; ja zaś miałem nadzieję, że mi przebaczą, gdyż był to pierwszy występek, o który mnie w szkole oskarżono; poza tym myślałem także o naszym Boskim Zbawicielu, który został niesprawiedliwie oczerniony”.

„Nic już wtedy nie powiedziałem, ale wszyscy podziwiali cierpliwość Savio: potrafił odpłacać dobrem za zło i był gotów znieść nawet surową karę dla dobra tego samego, który go fałszywie oskarżył”. *(Tak ks. Cugliero.*)

ROZDZIAŁ VII. Moje pierwsze spotkanie z

nim — Ciekawe epizody przy tej okazji

To, co teraz opowiem, mogę przedstawić z większą liczbą szczegółów, ponieważ prawie wszystko wydarzyło się na moich oczach, a w większości także w obecności wielu chłopców, którzy zgodnie to potwierdzają. Był rok 1854, gdy wspomniany ks. Cugliero przyszedł porozmawiać ze mną o jednym ze swoich uczniów, który ze względu na pobożność zasługiwał na szczególną uwagę. „W pańskim domu — mówił — może pan mieć chłopców równych mu, ale trudno będzie znaleźć kogoś, kto przewyższałby go talentem i cnotą. Proszę go wypróbować, a znajdzie pan drugiego św. Alojzego”. Ustaliliśmy, że przyśle go do mnie w Murialdo przy okazji, gdy zwykłem tam przebywać z chłopcami z tego domu, aby mogli nieco odpocząć na wsi, a zarazem odprawić nowennę i obchodzić uroczystość Różańca Najświętszej Maryi Panny.

Był wczesny ranek pierwszego poniedziałku października, gdy zobaczyłem chłopca, któremu towarzyszył ojciec, zbliżającego się, aby ze mną porozmawiać. Jego pogodna twarz i radosne, a zarazem pełne szacunku zachowanie od razu zwróciły moją uwagę.

„Kim jesteś? — zapytałem. — Skąd przychodzisz?”

„Jestem Dominik Savio — odpowiedział — ten, o którym mówił księdzu mój nauczyciel, ks. Cugliero; przychodzimy z Mondonio”.

Wtedy odwołałem go na bok i zaczęliśmy rozmawiać o dotychczasowej nauce i sposobie życia. Wkrótce zapanowało między nami pełne zaufanie: on do mnie, a ja do niego.

Rozpoznałem w tym chłopcu duszę całkowicie zgodną z duchem Pańskim i byłem niemało zdumiony, rozważając dzieło, jakiego łaska Boża dokonała już w tak młodym wieku.

Po dość długiej rozmowie, zanim zawołałem ojca, powiedział mi dokładnie te słowa: „No dobrze, co ksiądz o mnie sądzi? Zabierze mnie ksiądz do Turynu, żebym mógł się uczyć?”

„Hm! Wydaje mi się, że jest tu dobry materiał”.

„A do czego może służyć ten materiał?”

„Do uszycia pięknej szaty, którą podarujemy Panu”.

„A więc ja jestem materiałem; niech ksiądz będzie krawcem. Proszę mnie zabrać ze sobą, a uszyje ksiądz piękną szatę dla Pana”.

„Obawiam się, że twoje słabe zdrowie może nie wytrzymać nauki”.

„Proszę się tego nie bać. Ten Pan, który dotąd dał mi zdrowie i łaskę, pomoże mi także w przyszłości”.

„A kiedy skończysz naukę łaciny, co będziesz chciał robić?”

„Jeśli Pan udzieli mi tak wielkiej łaski, gorąco pragnę obrać stan duchowny”.

„Dobrze. Teraz chcę sprawdzić, czy masz dostateczne zdolności do nauki. Weź tę książeczkę” — był to zeszyt „Czytanek *Katolickich”* — „dzisiaj naucz się tej strony, a jutro wróć i powiedz mi ją z pamięci”.

Powiedziawszy to, pozwoliłem mu iść pobawić się z innymi chłopcami, sam zaś zacząłem rozmawiać z ojcem. Nie minęło więcej niż osiem minut, gdy Dominik podszedł do mnie z uśmiechem i powiedział: „Jeśli ksiądz chce, mogę już teraz powiedzieć swoją stronę”. Wziąłem książkę i ku mojemu zdumieniu stwierdziłem, że nie tylko nauczył się wyznaczonej strony dosłownie, lecz także doskonale rozumiał jej treść.

„Brawo — powiedziałem. — Ty przyspieszyłeś naukę swojej lekcji, więc ja przyspieszę odpowiedź. Tak, zabiorę cię do Turynu i od tej chwili zaliczasz się do moich drogich synów. Ty także zacznij odtąd modlić się do Boga, aby pomagał mnie i tobie spełniać Jego świętą wolę”.

Nie wiedząc, jak lepiej wyrazić swoją radość i wdzięczność, wziął mnie za rękę, uścisnął ją, kilka razy ucałował, a na koniec powiedział: „Mam nadzieję tak się zachowywać, aby ksiądz nigdy nie miał powodu skarżyć się na moje postępowanie”.

ROZDZIAŁ VIII. Przybywa do Oratorium św. Franciszka Salezego — Jego pierwszy sposób życia

Właściwością zmiennego wieku młodzieńczego jest częste zmienianie postanowień co do tego, czego się chce. Dlatego nierzadko zdarza się, że dziś postanawia się jedno, jutro drugie; dziś praktykuje się jakąś cnotę w stopniu wybitnym, jutro jej przeciwieństwo; i jeśli nie ma kogoś, kto czuwa uważnie, wychowanie, które mogłoby przynieść najlepsze owoce, często kończy się źle. Z naszym Dominikiem było inaczej. Wszystkie cnoty, które widzieliśmy rodzące się i wzrastające w kolejnych etapach jego życia, rosły nadal w sposób godny podziwu i rozwijały się razem, bez szkody jednej dla drugiej.

Po przybyciu do Oratorium udał się do mojego pokoju, aby — jak mówił — całkowicie oddać się w ręce przełożonych. Jego wzrok od razu padł na tabliczkę, na której wielkimi literami wypisano słowa często powtarzane przez św. Franciszka Salezego: Da mihi animas, coetera *tolle. Zaczął je uważnie* czytać, a ja pragnąłem, aby zrozumiał ich znaczenie. Zachęciłem go więc — a właściwie pomogłem mu — przetłumaczyć je i wydobyć taki sens: „O *Panie, daj mi dusze, a resztę zabierz”. Pomyślał chwilę,* po czym dodał: „Rozumiem. Tutaj nie chodzi o interes pieniędzy, ale o interes dusz. Rozumiem; mam nadzieję, że także moja dusza będzie należała do tego interesu”.

Przez pewien czas jego sposób życia był całkiem zwyczajny; niczego szczególnego w nim nie podziwiano poza dokładnym przestrzeganiem regulaminu domu. Pilnie przykładał się do nauki. Z gorliwością spełniał wszystkie obowiązki. Z upodobaniem słuchał kazań. Głęboko zakorzeniło się w jego sercu przekonanie, że słowo Boże jest przewodnikiem człowieka na drodze do nieba; dlatego każda zasada usłyszana na kazaniu stawała się dla niego stałym wspomnieniem, którego już nie zapominał.

Każde pouczenie moralne, każda katecheza, każde kazanie, choćby długie, było dla niego zawsze radością. Jeśli usłyszał coś, czego dobrze nie zrozumiał, natychmiast

prosił o wyjaśnienie. Stąd wziął początek ten wzorowy sposób życia i ta dokładność w wypełnianiu obowiązków, poza którą trudno byłoby pójść dalej.

Aby dobrze poznać zasady i dyscyplinę domu, z wielką uprzejmością starał się zbliżać do któregoś z przełożonych; pytał go, prosił o światło i rady oraz błagał, aby z dobrocią upominał go za każdym razem, gdy zauważy, że uchybia obowiązkom. Nie mniej godne pochwały było jego zachowanie wobec kolegów. Widział kogoś rozproszonego, zaniedbującego obowiązki lub niedbałego w pobożności? Dominik go unikał. Był natomiast jakiś kolega wzorowy, pilny, pracowity i chwalony przez nauczyciela? Taki natychmiast stawał się przyjacielem i bliskim Dominika.

Gdy zbliżało się święto Niepokalanego Poczęcia Maryi, Dyrektor każdego wieczoru mówił kilka słów zachęty do chłopców domu, aby każdy starał się obchodzić je w sposób godny wielkiej Matki Bożej. Szczególnie nalegał, aby prosili tę niebieską Opiekunkę o te łaski, których każdy najbardziej potrzebował.

Był rok 1854, kiedy chrześcijanie na całym świecie przeżywali swoiste duchowe poruszenie, gdyż w Rzymie rozważano dogmatyczne określenie Niepokalanego Poczęcia Maryi. Także wśród nas czyniono wszystko, na co pozwalały warunki, aby obchodzić tę uroczystość godnie i z duchowym pożytkiem dla naszych chłopców.

Savio należał do tych, którzy płonęli pragnieniem świętego przeżycia tej uroczystości. Zapisał dziewięć drobnych praktyk, to jest dziewięć aktów cnoty do wykonania, i każdego dnia losował jeden z nich. Przygotował się i z wielką radością ducha odprawił spowiedź generalną, a do świętych Sakramentów przystąpił z największym skupieniem.

Wieczorem tego dnia, 8 grudnia, po zakończeniu nabożeństw w kościele, za radą spowiednika Dominik udał się przed ołtarz Maryi, odnowił obietnice złożone przy Pierwszej Komunii, a potem kilka razy powtórzył dokładnie te słowa: „Maryjo, oddaję Ci moje **serce; spraw, aby zawsze należało do Ciebie. Jezu i Maryjo, bądźcie zawsze moimi przyjaciółmi! Ale proszę Was, pozwólcie mi raczej umrzeć, niżbym miał doznać nieszczęścia popełnienia choć jednego grzechu”**.

Gdy w ten sposób obrał Maryję za podporę swojej pobożności, jego postępowanie moralne stało się tak budujące i połączone z takimi aktami cnoty, że odtąd zacząłem je zapisywać, aby o nich nie zapomnieć.

Doszedłszy do tego miejsca w opisie czynów młodego Savio, widzę przed sobą całe

mnóstwo wydarzeń i cnót zasługujących na szczególną uwagę zarówno piszącego, jak i czytelnika. Dla większej jasności uważam zatem za stosowne przedstawiać je nie w porządku chronologicznym, lecz według podobieństwa faktów, które pozostają ze sobą w szczególnym związku albo odnoszą się do tego samego tematu. Podzielę więc materiał na odpowiednią liczbę rozdziałów, zaczynając od nauki łaciny, która była głównym powodem jego przybycia i przyjęcia do tego domu na Valdocco.

ROZDZIAŁ IX. Nauka łaciny — Ciekawe wydarzenia — Zachowanie w szkole — Zapobiega bójce — Unika niebezpieczeństwa

Podstaw łaciny uczył się w Mondonio; dzięki wielkiej pilności i niepospolitym zdolnościom szybko został zakwalifikowany do klasy czwartej, czyli — jak powiedzielibyśmy dziś — do drugiej klasy gramatyki łacińskiej. Kurs ten odbywał u pobożnego i dobroczynnego profesora Giuseppe Bonzanina, ponieważ w tym czasie przy domu Oratorium nie istniały jeszcze szkoły gimnazjalne, jak obecnie. Także tutaj powinienem opisać jego zachowanie, postępy i przykładność tymi samymi słowami, jakich używali poprzedni nauczyciele. Wspomnę więc tylko o niektórych rzeczach, które w tym roku nauki łaciny i w dwóch następnych budziły szczególny podziw tych, którzy go znali. Profesor Bonzanino nieraz mówił, że nie przypomina sobie ucznia bardziej uważnego, bardziej uległego i bardziej pełnego szacunku niż młody Savio. We wszystkim wydawał się wzorem. Nie przywiązywał żadnej przesadnej wagi do ubrania ani fryzury; jednak w skromnym stroju i przy swoim prostym pochodzeniu wyglądał schludnie, dobrze wychowany i uprzejmy, tak że koledzy ze stanu mieszczańskiego, a nawet szlacheckiego — licznie uczęszczający do tej szkoły — bardzo lubili przebywać z Dominikiem nie tylko ze względu na jego wiedzę i pobożność, lecz także z powodu jego kulturalnych i miłych manier. Jeśli profesor zauważył jakiegoś zbyt rozmownego ucznia, sadzał obok niego Dominika, a

ten z taktem starał się skłonić go do milczenia, nauki i wypełniania obowiązków.

Właśnie w tym roku życie Dominika dostarcza nam wydarzenia niemal heroicznego, wręcz niewiarygodnego w tak młodym wieku. Dotyczyło ono dwóch kolegów szkolnych, którzy popadli w niebezpieczną kłótnię. Spór zaczął się od kilku słów wypowiedzianych wzajemnie z pogardą o rodzinach. Po obelgach przeszli do wyzwisk i wyzwali się na pojedynek na kamienie. Dominik dowiedział się o tej niezgodzie; ale jak mógł jej zapobiec, skoro obaj przeciwnicy byli od niego starsi i silniejsi? Próbował przekonać ich do porzucenia zamiaru, wskazując każdemu, że zemsta jest przeciwna rozumowi i świętemu prawu Bożemu. Pisał listy do jednego i drugiego; groził, że powie o sprawie profesorowi, a nawet ich rodzicom; wszystko jednak na próżno. Ich umysły były tak rozdrażnione, że żadne słowa nie pomagały. Oprócz niebezpieczeństwa ciężkiego zranienia ciała groziła im wielka obraza Boga. Dominik był bardzo strapiony; chciał temu przeszkodzić, lecz nie wiedział jak. Bóg natchnął go, by postąpił następująco. Zaczekał na nich po szkole i gdy mógł porozmawiać z oboma na osobności, powiedział: „Skoro trwacie przy tym brutalnym zamiarze, proszę was przynajmniej, abyście przyjęli jeden warunek”. „Przyjmujemy — odpowiedzieli — byle nie przeszkodził w pojedynku”. „To łotr” — wykrzyknął od razu jeden; „a ja nie zaznam z nim pokoju — dodał drugi — dopóki jemu albo mnie nie zostanie rozbita głowa”. Savio drżał na dźwięk tej brutalnej wymiany zdań; jednak pragnąc zapobiec większemu złu, opanował się i powiedział: „Warunek, który wam postawię, nie przeszkodzi w pojedynku”.

Koledzy. Jaki jest ten warunek?

Savio. Chcę wam go powiedzieć dopiero w miejscu, gdzie zamierzacie obrzucać się kamieniami.

Koledzy. Robisz sobie z nas żarty albo spróbujesz nam w czymś przeszkodzić.

Savio. Będę z wami i nie oszukam was; bądźcie spokojni.

Koledzy. Może chcesz pójść i kogoś zawołać.

Savio. Powinienem tak zrobić, ale tego nie zrobię. Chodźmy, będę z wami. Tylko dotrzymajcie danego mi słowa. Obiecali mu to i udali się *na tak zwane łąki* Cittadella za Porta Susa[7].

Tak wielka była nienawiść obu przeciwników, że Savio z trudem zdołał powstrzymać

ich od bójki podczas krótkiej drogi, którą mieli przejść.

Gdy dotarli na umówione miejsce, Savio uczynił coś, czego z pewnością nikt by się nie spodziewał. Pozwolił im stanąć w pewnej odległości od siebie. Każdy miał już w ręku po pięć kamieni, gdy Dominik powiedział: „Zanim rozpoczniecie pojedynek, chcę, abyście spełnili przyjęty warunek". Mówiąc to, wyjął mały krucyfiks, który nosił na szyi, i trzymając go w jednej ręce, powiedział: „Chcę, aby każdy z was spojrzał na ten krucyfiks, a następnie, rzucając kamieniem we mnie, wypowiedział głośno te słowa: Jezus Chrystus, choć niewinny, umarł, przebaczając swoim krzyżującym; ja, grzesznik, chcę Go obrazić i dokonać uroczystej zemsty".

Powiedziawszy to, poszedł i ukląkł przed tym, który wydawał się bardziej rozwścieczony, mówiąc: „Zadaj pierwszy cios we mnie. Rzuć mocno kamieniem w moją głowę". Chłopiec, który nie spodziewał się takiej propozycji, zaczął drżeć. „Nie — powiedział — nigdy. Nie mam nic przeciwko tobie; przeciwnie, broniłbym cię, gdyby ktoś chciał cię znieważyć".

Usłyszawszy to, Dominik pobiegł do drugiego i powiedział mu te same słowa. On również zmieszał się i drżąc oświadczył, że ponieważ Dominik jest jego przyjacielem, nigdy nie wyrządzi mu krzywdy.

Wtedy Dominik wstał i przybierając poważny, głęboko wzruszony wyraz twarzy, powiedział do nich: „Jak to? Obaj jesteście gotowi narazić się nawet na wielkie niebezpieczeństwo, aby bronić mnie, nędznego stworzenia, a nie potraficie przebaczyć sobie wzajemnej zniewagi i szyderstwa doznanego w szkole, aby ocalić własne dusze, które kosztowały Zbawiciela Jego krew i które chcecie stracić przez ten grzech?" Powiedziawszy to, zamilkł, nadal trzymając wysoko krucyfiks.

Na widok takiej miłości i odwagi koledzy zostali pokonani. „W tej chwili — stwierdza jeden z nich — byłem głęboko poruszony; zimny dreszcz przeszedł mi po członkach i ogarnął mnie wstyd, że zmusiliśmy tak dobrego przyjaciela jak Savio do użycia ostatecznych środków, aby powstrzymać nasz niegodziwy zamiar. Chcąc dać mu przynajmniej jakiś znak dobrej woli, z serca przebaczyłem temu, który mnie obraził, i poprosiłem Dominika, aby polecił mi jakiegoś cierpliwego i miłosiernego kapłana, do którego mógłbym pójść do spowiedzi. W ten sposób, stając się na nowo jego przyjacielem, pojednałem się z Panem, którego z pewnością ciężko obraziłem nienawiścią i pragnieniem zemsty".

Jest to przykład bardzo godny naśladowania przez każdego młodego chrześcijanina,

ilekroć widzi bliźniego zamierzającego się zemścić albo sam zostaje przez innych w jakiś sposób obrażony czy znieważony.

Tym, co w tym wydarzeniu szczególnie przynosi zaszczyt postępowaniu i miłości Savio, jest milczenie, w jakim potrafił zachować to, co się wydarzyło. Wszystko pozostałoby zupełnie nieznane, gdyby sami uczestnicy nie opowiadali o tym wielokrotnie.

Droga do szkoły i z powrotem, tak niebezpieczna dla młodzieży przybywającej ze wsi do wielkich miast, była dla naszego Dominika prawdziwym ćwiczeniem cnoty. Wytrwały w wykonywaniu poleceń przełożonych, chodził do szkoły i wracał do domu, nie rzucając nawet spojrzenia ani nie nadstawiając ucha na coś, co nie przystoi chrześcijańskiemu chłopcu. Jeśli widział kogoś zatrzymującego się, biegającego, skaczącego, rzucającego kamieniami albo przechodzącego przez niedozwolone miejsca, natychmiast się od niego oddalał. Pewnego dnia zaproszono go na spacer bez pozwolenia; innym razem namawiano, by opuścił szkołę i poszedł się zabawić, lecz zawsze umiał odmówić. „Najpiękniejszą zabawą — odpowiadał — jest dla mnie wypełnianie obowiązków; jeśli jesteście prawdziwymi przyjaciółmi, powinniście radzić mi, abym wykonywał je dokładnie, a nigdy ich nie zaniedbywał”. Mimo to miał nieszczęście trafić na kilku kolegów, którzy tak mocno na niego naciskali, że Savio znalazł się o krok od wpadnięcia w ich sidła. Już postanowił pójść z nimi i opuścić tego dnia szkołę. Lecz po przejściu krótkiego odcinka zrozumiał, że posłuchał złej rady; odczuł wielkie wyrzuty sumienia, zawołał złych doradców i powiedział: „Moi drodzy, obowiązek nakazuje mi iść do szkoły i chcę tam pójść. Robimy coś, co nie podoba się Bogu i naszym przełożonym. Żałuję tego, co zrobiłem; jeśli jeszcze raz udzielicie mi podobnej rady, przestaniecie być moimi przyjaciółmi”.

Chłopcy przyjęli upomnienie przyjaciela; poszli z nim do szkoły i odtąd nie próbowali już odciągać go od obowiązków. Pod koniec roku dzięki dobremu zachowaniu i stałej pilności w nauce zasłużył na przejście wśród najlepszych uczniów do wyższej klasy. Jednak na początku trzeciego roku gramatyki zdrowie Dominika wyraźnie się pogorszyło, dlatego uznano za stosowne pozwolić mu odbywać kurs prywatnie tutaj, w domu Oratorium, aby można było otoczyć go należytą troską w czasie odpoczynku, nauki i rekreacji.

W roku humanistyki, czyli pierwszej retoryki, gdy wydawał się być w lepszym zdrowiu, posłano go do zasłużonego profesora, ks. Matteo Picco. Słyszał on już wielokrotnie o pięknych przymiotach zdobiących Savio, toteż chętnie przyjął go

bezpłatnie do swojej szkoły, która należała do najlepszych zatwierdzonych szkół w naszym mieście.

Wiele było budujących rzeczy powiedzianych lub uczynionych przez Savio w roku trzeciej gramatyki i pierwszej retoryki; będziemy je przedstawiać stopniowo, opowiadając wydarzenia, z którymi są związane.

ROZDZIAŁ X. Jego postanowienie zostania świętym

Po krótkim wspomnieniu nauki odbytej w klasach łacińskich opowiemy teraz o jego wielkim postanowieniu zostania świętym.

Savio mieszkał w Oratorium od sześciu miesięcy, gdy wygłoszono tam kazanie o łatwym sposobie zostania świętym. Kaznodzieja zatrzymał się szczególnie nad trzema myślami, które wywarły głębokie wrażenie na duszy Dominika, a mianowicie: wolą Bożą jest, abyśmy wszyscy zostali świętymi; osiągnięcie tego jest bardzo łatwe; a wielka nagroda w niebie jest przygotowana dla tego, kto stanie się święty. Dla Dominika kazanie to było jak iskra, która rozpaliła jego serce miłością Boga. Przez kilka dni nic nie mówił, lecz był mniej wesoły niż zwykle, tak że zauważyli to koledzy, a także ja. Sądząc, że pochodzi to z jakiejś nowej dolegliwości zdrowotnej, zapytałem, czy coś mu dokucza. „Przeciwnie — odpowiedział — cierpię na coś dobrego”. „Co masz na myśli?” „Chcę powiedzieć, że czuję pragnienie i potrzebę zostania świętym. Nie sądziłem, że tak łatwo można zostać świętym; ale teraz, gdy zrozumiałem, że można to osiągnąć, pozostając przy tym wesołym, stanowczo chcę zostać świętym i bezwzględnie tego potrzebuję. Proszę więc powiedzieć mi, jak mam postępować, aby rozpocząć to przedsięwzięcie”.

Pochwaliłem jego postanowienie, lecz zachęciłem go, aby się nie niepokoił, bo pośród gwałtownych poruszeń duszy trudno rozpoznać głos Pana. Jako pierwszej rzeczy wymagałem od niego stałej i umiarkowanej radości; radząc mu, aby wytrwale

wypełniał obowiązki pobożności i nauki, poleciłem mu także, by nigdy nie opuszczał wspólnej rekreacji z kolegami.

Pewnego dnia powiedziałem mu, że chcę dać mu prezent według jego własnego wyboru. „Prezent, o który proszę — odpowiedział natychmiast — to żeby ksiądz uczynił mnie świętym. Chcę oddać się cały Panu, na zawsze Panu, i czuję potrzebę zostania świętym; jeśli nie zostanę świętym, niczego nie dokonam. Bóg chce, żebym był świętym, i muszę nim zostać”.

Pewnego razu Dyrektor chciał okazać chłopcom domu szczególny znak życzliwości i pozwolił im za pomocą pisemnej karteczki poprosić o cokolwiek, co leżało w jego mocy, obiecując, że to spełni. Łatwo sobie wyobrazić zabawne i dziwaczne prośby jednych i drugich. Savio wziął skrawek papieru i napisał tylko te słowa: „Proszę, aby ksiądz zbawił moją duszę i uczynił mnie świętym”.

Pewnego dnia objaśniano niektóre słowa według ich etymologii. „A co oznacza Dominik?” — zapytano go. Odpowiedź brzmiała: „Dominik *znaczy «należący* do *Pana»”. „Widzi* ksiądz — dodał natychmiast — czy nie mam racji, prosząc, aby uczynić mnie świętym: nawet moje imię mówi, że należę do Pana. Dlatego muszę i chcę należeć całkowicie do Pana; chcę zostać świętym i będę nieszczęśliwy, dopóki nim nie zostanę”.

Zapał, z jakim pragnął zostać świętym, nie wynikał z tego, że nie prowadził już życia prawdziwie świętego. Mówił w ten sposób, ponieważ chciał podejmować surowe pokuty i spędzać długie godziny na modlitwie; Dyrektor zabraniał mu tych rzeczy jako niezgodnych z jego wiekiem, zdrowiem i obowiązkami.

ROZDZIAŁ XI. Jego gorliwość o zbawienie dusz

Pierwszą rzeczą, którą mu zalecono dla osiągnięcia świętości, była praca nad

zdobywaniem dusz dla Boga, ponieważ nie ma na świecie nic świętszego niż współpracować dla dobra dusz, za których zbawienie Jezus Chrystus przelał aż do ostatniej kropli swoją drogocenną Krew. Dominik zrozumiał wagę tej praktyki i często słyszano, jak mówił: „Gdybym tylko mógł pozyskać dla Boga wszystkich moich kolegów, jakże byłbym szczęśliwy!” Tymczasem nie przepuszczał żadnej okazji, by dać dobrą radę albo upomnieć kogoś, kto powiedział lub zrobił coś przeciwnego świętemu prawu Bożemu.

Szczególną grozę budziło w nim bluźnierstwo, czyli słuchanie, jak święte imię Boga jest wzywane nadaremno; szkodziło to niemało także jego zdrowiu. Jeśli na ulicach miasta lub gdzie indziej usłyszał podobne słowa, natychmiast ze smutkiem pochylał głowę i pobożnym sercem mówił: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

Pewnego dnia, gdy przechodził przez plac w mieście, kolega zobaczył, jak Dominik zdjął czapkę i wypowiedział półgłosem kilka słów. „Co robisz? — zapytał. — Co mówisz?” „Nie słyszałeś? — odpowiedział Dominik. — Ten woźnica wziął święte imię Boga nadaremno. Gdybym sądził, że to pomoże, pobiegłbym go upomnieć, aby nigdy więcej tego nie robił; ale obawiając się, że mógłby powiedzieć jeszcze gorsze rzeczy, poprzestaję na zdjęciu czapki i powiedzeniu: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Czynię to z zamiarem wynagrodzenia w pewien sposób zniewagi wyrządzonej świętemu imieniu Pana”.

Kolega podziwiał zachowanie i odwagę Dominika i do dziś z przyjemnością opowiada ten epizod ku czci przyjaciela i zbudowaniu innych.

Pewnego razu, wracając ze szkoły, usłyszał człowieka w dość podeszłym wieku wypowiadającego straszne bluźnierstwo. Nasz Dominik zadrżał na ten dźwięk; w sercu oddał chwałę Bogu, a potem uczynił coś naprawdę godnego podziwu. Z największym szacunkiem podbiegł do nierozważnego bluźniercy i zapytał, czy mógłby mu wskazać, gdzie znajduje się Oratorium św. Franciszka Salezego. Wobec tego niebiańskiego wyrazu twarzy mężczyzna porzucił szorstkość i powiedział: „Nie wiem, drogi chłopcze; przykro mi”.

„O! Jeśli tego pan nie wie, może mógłby mi pan wyświadczyć inną przysługę”.

„Powiedz, chętnie to zrobię”.

Dominik zbliżył się tak blisko jego ucha, jak tylko mógł, i mówiąc cicho, aby nikt inny nie zrozumiał, dodał: „Wyświadczy mi pan wielką przysługę, jeśli kiedy się pan

gniewa, użyje pan innych słów i nie będzie bluźnił świętemu imieniu Boga”.

„Brawo — powiedział tamten, pełen zdumienia i podziwu. — Tak, masz rację. To przeklęty nawyk i chcę go przezwyciężyć za wszelką cenę”.

Pewnego dnia chłopiec mający może dziewięć lat zaczął kłócić się z kolegą w pobliżu drzwi domu i podczas sporu nadaremno wypowiedział godne uwielbienia imię Jezusa Chrystusa. Na te słowa Dominik, choć w sercu odczuł słuszne oburzenie, spokojnie wszedł między obu kłócących się i uspokoił ich. Następnie powiedział do chłopca, który wziął imię Boże nadaremno: „Chodź ze mną, a będziesz zadowolony, że poszedłeś”. Jego ujmujący sposób bycia skłonił chłopca do zgody. Dominik wziął go za rękę, zaprowadził do kościoła przed ołtarz, kazał uklęknąć obok siebie i powiedział: „Proś Pana o przebaczenie zniewagi, której dopuściłeś się, wzywając Jego imienia nadaremno”. Ponieważ chłopiec nie znał aktu żalu, Dominik odmówił go razem z nim. Potem dodał:

„Powiedz ze mną te słowa, aby wynagrodzić zniewagę wyrządzoną Jezusowi Chrystusowi: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, a Jego święte i godne uwielbienia imię niech będzie błogosławione na wieki”.

Najchętniej czytał żywoty tych świętych, którzy w szczególny sposób pracowali dla zbawienia dusz. Z upodobaniem mówił o misjonarzach, którzy trudzą się w dalekich krajach dla dobra dusz; a ponieważ nie mógł udzielić im pomocy materialnej, codziennie ofiarowywał za nich jakąś modlitwę do Pana i przynajmniej raz w tygodniu przyjmował Komunię świętą w ich intencji.

Nieraz słyszałem, jak wołał: „Ile dusz w Anglii czeka na naszą pomoc! Och, gdybym miał siłę i cnotę, natychmiast bym tam pojechał i głoszeniem oraz dobrym przykładem starałbym się pozyskać je wszystkie dla Pana”. Często ubolewał sam przed sobą i mówił kolegom o małej gorliwości wielu ludzi w pouczaniu dzieci o prawdach wiary. „Gdy tylko zostanę klerykiem — mawiał — chcę pojechać do Mondonio i zebrać wszystkie dzieci pod jakimś dachem. Będę je uczył katechizmu, opowiadał wiele przykładów i uczynię z nich wszystkich świętych. Ile biednych dzieci może idzie na zatracenie tylko dlatego, że nie ma nikogo, kto nauczyłby je wiary!” To, co mówił słowami, potwierdzał czynami, ponieważ na ile pozwalały jego wiek i wykształcenie, chętnie uczył katechizmu w kościele Oratorium; a jeśli ktoś tego potrzebował, udzielał mu lekcji i objaśniał katechizm o każdej godzinie dnia i w każdy dzień tygodnia, jedynie po to, aby móc mówić o sprawach duchowych i pomagać zrozumieć wagę zbawienia duszy.

Pewnego dnia nierozważny kolega chciał mu przeszkodzić, gdy podczas rekreacji opowiadał budującą historię. „Co cię to wszystko obchodzi?” — zapytał. „Co mnie obchodzi? — odpowiedział Dominik. — Obchodzi mnie to, ponieważ dusze moich kolegów zostały odkupione Krwią Jezusa Chrystusa; obchodzi mnie, ponieważ wszyscy jesteśmy braćmi i jako tacy musimy miłować wzajemnie swoje dusze; obchodzi mnie, ponieważ Bóg nakazuje nam pomagać sobie nawzajem w zbawieniu; obchodzi mnie, ponieważ jeśli uda mi się zbawić jedną duszę, zapewnię także własne zbawienie”.

Troska Dominika o dobro dusz nie słabła również podczas krótkich wakacji spędzanych w domu ojca. Każdy obrazek, medalik, krzyżyk, książeczkę czy inny przedmiot, który zdobył jako nagrodę w szkole albo na katechizmie, odkładał z myślą o wykorzystaniu ich podczas wakacji. Co więcej, zanim opuszczał Oratorium, zwykł szczególnie prosić przełożonych, aby dali mu podobne drobiazgi, by — jak mówił — rozweselać swoich towarzyszy zabaw.

Gdy tylko docierał do domu, natychmiast otaczali go chłopcy w jego wieku, młodsi, a nawet starsi, którzy naprawdę lubili przebywać w jego towarzystwie. Rozdając we właściwej chwili swoje podarunki, zachęcał ich, by uważnie odpowiadali na pytania, które zadawał im raz z katechizmu, a raz z ich obowiązków.

Tymi miłymi sposobami udawało mu się zabierać wielu z nich ze sobą na katechizm, modlitwę, Mszę świętą i inne praktyki pobożne.

Zapewniano mnie, że poświęcił wiele czasu na pouczanie jednego z kolegów. „Jeśli nauczysz się dobrze robić znak krzyża świętego — powiedział mu — dam ci medalik, a potem poproszę jakiegoś kapłana, żeby dał ci ładną książkę. Ale chcę, żebyś robił to dobrze: gdy wypowiadasz słowa ustami, prawa ręka ma zacząć od czoła, zejść na pierś, potem dotknąć porządnie lewego ramienia, następnie prawego, a na końcu naprawdę złożyć *ręce,* mówiąc: Amen”. Bardzo pragnął, aby ten znak naszego odkupienia wykonywano poprawnie; sam kilkakrotnie czynił go wobec nich i zachęcał innych, aby robili tak samo.

Oprócz dokładnego wypełniania każdego, nawet najmniejszego własnego obowiązku, troszczył się także o dwóch młodszych braci: uczył ich czytać i pisać, odmawiać katechizm i pomagał im przy modlitwach porannych i wieczornych. Zabierał ich do kościoła, podawał im wodę święconą i pokazywał właściwy sposób czynienia znaku krzyża świętego. Czas, który mógłby spędzić na włóczeniu się i zabawie, wykorzystywał raczej na opowiadanie budujących historii rodzinie albo

innym kolegom gotowym go słuchać. Także w domu miał zwyczaj codziennie nawiedzać Najświętszy Sakrament; uważał za prawdziwy zysk, gdy udało mu się przekonać jakiegoś kolegę, aby poszedł razem z nim. Można więc powiedzieć, że ilekroć nadarzała się sposobność spełnienia dobrego uczynku lub udzielenia dobrej rady dla dobra jakiejś duszy, nigdy jej nie przepuszczał.

ROZDZIAŁ XII. Epizody i jego miły sposób obcowania z kolegami

Myśl o pozyskiwaniu dusz dla Boga towarzyszyła mu wszędzie. W czasie wolnym był duszą rekreacji; lecz wszystko, co mówił lub czynił, zmierzało zawsze do moralnego dobra jego samego albo innych. Stale pamiętał o pięknej zasadzie wychowania, aby nigdy nie przerywać drugiemu, gdy mówi. Jeśli jednak koledzy milczeli, natychmiast poruszał zagadnienia ze szkoły, historii lub arytmetyki; zawsze miał też pod ręką tysiąc drobnych opowiadań, które czyniły jego towarzystwo niezwykle przyjemnym. Jeśli ktoś skierował rozmowę ku obmowie lub podobnym sprawom, przerywał ją jakimś żartem, bajką albo inną zabawną historyjką; w ten sposób, rozśmieszając towarzystwo, odwracał rozmowę od obmowy i zapobiegał obrażaniu Boga wśród kolegów.

Jego pogodne usposobienie i żywy charakter sprawiały, że był drogi nawet tym kolegom, którzy mniej skłaniali się ku pobożności. Wszyscy chętnie z nim przebywali i łatwo przyjmowali rady, których od czasu do czasu im udzielał.

Pewnego dnia jeden z kolegów chciał się przebrać w kostium, lecz Dominik nie pochwalał tego. „Czy podobałoby ci się — zapytał — gdybyś naprawdę stał się tym, za kogo chcesz się przebrać: z dwoma rogami na czole, nosem długim na stopę i w ubraniu kuglarza?” „Z pewnością nie” — odpowiedział tamten. „A więc — dodał Dominik — skoro nie chciałbyś mieć takiego wyglądu, dlaczego chcesz tak wyglądać i oszpecać piękne rysy, które dał ci Bóg?”

Pewnego razu podczas rekreacji przyszedł między bawiących się chłopców pewien mężczyzna i zwrócił się do jednego z nich tak głośno, że słyszeli go wszyscy znajdujący się w pobliżu. Spryciarz, chcąc zgromadzić ich wokół siebie, zaczął od opowiadania dziwnych historii, aby ich rozśmieszyć. Chłopcy, przyciągnięci ciekawością, szybko otoczyli go i uważnie słuchali jego osobliwych opowieści. Gdy tylko zobaczył się w środku koła, skierował rozmowę na religię i — jak zwykli czynić ludzie tego rodzaju — zaczął wypowiadać oburzające zdania, od których przechodził dreszcz, szydził z rzeczy najświętszych i zniesławiał wszystkich ludzi Kościoła. Niektórzy obecni, nie mogąc znieść takiej bezbożności, a nie mając odwagi mu się sprzeciwić, po prostu odeszli. Znaczna liczba nierozważnie pozostała i dalej słuchała. W tej właśnie chwili nadszedł Savio. Gdy tylko zrozumiał charakter rozmowy, odrzucił wszelki wzgląd ludzki i natychmiast zwrócił się do kolegów: „Chodźmy stąd — powiedział. — Zostawcie tego nieszczęśnika samego; chce ukraść nasze dusze”. Chłopcy, posłuszni głosowi tak kochanego i cnotliwego kolegi, wszyscy szybko odeszli od tego wysłannika diabła. Mężczyzna, widząc się opuszczonym przez wszystkich, odszedł i więcej go nie widziano.

Innym razem kilku chłopców chciało iść się kąpać. Zajęcie to, jeśli gdzie indziej jest niebezpieczne, tym bardziej jest takim w okolicach Turynu, gdzie — niezależnie od zagrożeń moralnych — wody są tak głębokie i bystre, że młodzi często padają nieszczęśliwymi ofiarami kąpieli. Dominik dowiedział się o ich zamiarze i próbował zatrzymać ich przy sobie, opowiadając jedną nowinę za drugą. Gdy jednak zobaczył, że są zdecydowani iść, powiedział stanowczo: „Nie, nie chcę, żebyście szli”.

„Przecież nie robimy nic złego”.

„Jesteście nieposłuszni przełożonym; narażacie się na niebezpieczeństwo dania lub przyjęcia zgorszenia i na utonięcie. Czy to nie jest zło?”

„Ale jest nam tak gorąco, że już nie możemy wytrzymać”.

„Jeżeli nie potraficie znieść gorąca tego świata, jak zniesiecie straszny żar piekła, na który zamierzacie sobie zasłużyć?”

Poruszeni tymi słowami zmienili zamiar i pozostali z nim na rekreacji; o właściwej porze poszli do kościoła na nabożeństwo.

Kilku innych chłopców z Oratorium, którym leżało na sercu dobro kolegów, utworzyło swego rodzaju stowarzyszenie poświęcone sprowadzaniu niesfornych

chłopców na lepszą drogę. Savio do niego należał i był jednym z najgorliwszych członków. Jeśli miał cukierek, owoc, krzyżyk, obrazek lub coś podobnego, zachowywał to w tym celu. „Kto chce? Kto chce?” — wołał. „Ja! Ja!” — krzyczeli wszyscy, biegnąc ku niemu. „Spokojnie — mówił — dam temu, kto najlepiej odpowie na pytanie z katechizmu”. Pytał wtedy tylko najbardziej niesfornych chłopców, a gdy tylko dawali w miarę dobrą odpowiedź, wręczał im drobny podarunek.

Innych zdobywał jeszcze innymi sposobami. Brał ich na bok, zapraszał na spacer, wciągał w rozmowę, a jeśli trzeba było, bawił się z nimi. Nieraz widziano go z wielkim kijem na ramionach, wyglądającego jak Herkules z maczugą, bawiącego się w *grę* zwaną potocznie *cirimella* i sprawiającego wrażenie całkowicie nią pochłoniętego. Nagle jednak przerywał zabawę i mówił do kolegi: „Chcesz, żebyśmy w sobotę poszli do spowiedzi?” Tamten, ponieważ sobota wydawała się daleka, ponieważ chciał wrócić do zabawy, a także aby sprawić Dominikowi przyjemność, odpowiadał: tak. Dominikowi to wystarczało i wracał do gry. Nie tracił jednak obietnicy z oczu: codziennie, z takiej czy *innej* okazji, przypominał tamto „tak” i stopniowo podpowiadał, jak odbyć dobrą spowiedź. Gdy przychodziła sobota, niczym myśliwy, który zdobył dobrą zwierzynę, odprowadzał kolegę do kościoła, spowiadał się przed nim, zazwyczaj uprzedzał wcześniej spowiednika, a potem zostawał razem z nim na dziękczynieniu. Takie wydarzenia zdarzały się często i przynosiły Dominikowi największą pociechę, a jego kolegom wielki pożytek; nieraz bowiem ktoś nie odnosił żadnego owocu z kazania słyszanego w kościele, a ulegał pobożnym zachętom Dominika.

Zdarzało się, że ktoś przez cały tydzień przytakiwał mu, a w sobotę znikał, gdy nadchodziła godzina spowiedzi. Kiedy Dominik spotykał go później, mówił niemal żartobliwie: „Ach, łotrzyku! Wywiodłeś mnie w pole”. „Ale zobacz — odpowiadał tamten — nie byłem przygotowany; nie czułem się na siłach…” „Biedaku — dodawał Dominik — ustąpiłeś diabłu, który był bardzo gotowy cię przyjąć; a teraz jesteś jeszcze mniej przygotowany, a nawet widzę, że masz zupełnie zły humor. Chodź, spróbuj pójść do spowiedzi; zrób wysiłek i postaraj się dobrze wyspowiadać, a zobaczysz, jak wielka radość napełni twoje serce”. Zazwyczaj po spowiedzi chłopiec natychmiast wracał do Dominika z sercem pełnym szczęścia: „To prawda — mówił — naprawdę jestem szczęśliwy. Od tej pory chcę spowiadać się częściej”.

W społecznościach młodzieży zazwyczaj znajdują się tacy, którzy z powodu pewnej szorstkości, niewiedzy, słabszego wychowania albo jakiegoś zmartwienia są zwykle pomijani przez kolegów. Ci właśnie odczuwają ciężar opuszczenia w chwili, kiedy bardziej niż inni potrzebują pociechy przyjaciela.

To byli przyjaciele Dominika. Zbliżał się do nich, rozweselał dobrą rozmową i dawał rozsądne rady. Dlatego nieraz chłopcy, którzy postanowili oddać się nieporządkowi, zachęceni pełnymi miłości słowami Savio, powracali do lepszego usposobienia.

Z tego powodu każdy, kto cierpiał z powodu zdrowia, prosił o Dominika jako pielęgniarza, a ci, którzy mieli troski, znajdowali pociechę, powierzając mu je. W ten sposób miał stale otwartą drogę do praktykowania miłości bliźniego i pomnażania zasług przed Bogiem.

ROZDZIAŁ XIII. Jego duch modlitwy — Nabożeństwo do Matki Bożej — Miesiąc Maryi

Wśród darów, którymi Bóg go ubogacił, jednym z najwybitniejszych była gorliwość w modlitwie. Jego duch tak przywykł do rozmowy z Bogiem, że w każdym miejscu, nawet pośród największego zgiełku, potrafił zebrać myśli i pobożnymi uczuciami wznieść serce do Boga.

Gdy modlił się wspólnie z innymi, naprawdę wyglądał jak mały anioł: nieruchomy, skupiony i pobożny całą postawą, nie oparty na niczym poza kolanami, z uśmiechniętą twarzą, głową lekko pochyloną i spuszczonym wzrokiem; można by powiedzieć, że to drugi św. Alojzy.

Wystarczyło go zobaczyć, aby doznać zbudowania. W 1854 roku hrabia Cays został wybrany przeorem Towarzystwa św. Alojzego istniejącego przy tym Oratorium. Gdy po raz pierwszy uczestniczył w naszych nabożeństwach, zobaczył chłopca modlącego się z tak pobożną postawą, że ogarnęło go zdumienie. Po zakończeniu świętych czynności chciał dowiedzieć się, kim był chłopiec, który wzbudził jego podziw: był nim Dominik Savio.

Nawet jego rekreacja była prawie zawsze podzielona na dwie części: znaczną jej część zwykle przeznaczał na pobożne czytanie albo na jakąś modlitwę, którą udawał się odmówić do kościoła z kilkoma kolegami za dusze czyśćcowe lub ku czci Najświętszej Maryi Panny.

Nabożeństwo Dominika do Matki Bożej było bardzo wielkie. Na Jej cześć podejmował codziennie jakieś umartwienie. Nigdy nie patrzył wprost na osoby płci przeciwnej; w drodze do szkoły nie podnosił wzroku. Czasem przechodził obok publicznych widowisk, którym koledzy przyglądali się z takim zainteresowaniem, że tracili świadomość, gdzie się znajdują. Zapytany, czy podobały mu się te przedstawienia, Savio odpowiadał, że niczego nie widział. Jeden z kolegów, niemal zirytowany, zganił go: „To po co ci oczy, jeśli nie używasz ich do patrzenia na takie rzeczy?" „Chcę ich używać — odpowiedział — aby oglądać oblicze naszej niebieskiej Matki Maryi, kiedy — jeśli z pomocą Boga będę tego godny — pójdę spotkać Ją w raju".

Żywił szczególne nabożeństwo do Niepokalanego Serca Maryi. Ilekroć szedł do kościoła, stawał przed Jej ołtarzem i prosił, aby wyjednała mu łaskę zachowania serca zawsze daleko od wszelkiego nieczystego uczucia. „Maryjo — mówił — chcę zawsze być Twoim synem; wyjednaj mi, abym raczej umarł, niż dopuścił się grzechu przeciw cnocie czystości".

W każdy piątek wybierał też część czasu rekreacji, aby wraz z innymi kolegami pójść do kościoła i odmówić koronkę do siedmiu boleści Maryi albo przynajmniej Litanię do Matki Bożej Bolesnej.

Nie tylko sam był czcicielem Najświętszej Dziewicy, lecz wielce się cieszył, gdy mógł skłonić kogoś innego do nabożeństwa ku Jej czci. Pewnej soboty zaprosił kolegę, aby poszedł z nim do kościoła odmówić nieszpory o Najświętszej Maryi Pannie. Tamten zgodził się niechętnie, mówiąc, że ma zimne ręce. Dominik zdjął rękawiczki i oddał mu je, po czym obaj udali się do kościoła. Innym razem zdjął z własnych ramion krótki płaszcz i pożyczył go drugiemu chłopcu, aby ten chętnie poszedł z nim do kościoła na modlitwę. Któż nie napełniłby się podziwem wobec tak hojnych uczynków pobożności?

W żadnym okresie Dominik nie okazywał tak żarliwego nabożeństwa do naszej niebieskiej Opiekunki Maryi jak w miesiącu maju. Umówił się z innymi, że każdego dnia tego miesiąca będą wykonywali jakąś szczególną praktykę ponad to, co odbywało się publicznie w kościele. Przygotował zbiór budujących opowiadań, które z wielką przyjemnością przytaczał, aby zachęcać innych do nabożeństwa do Maryi.

Często mówił o Niej podczas rekreacji; zachęcał wszystkich do częstej spowiedzi i Komunii świętej, zwłaszcza w tym miesiącu. Sam dawał przykład, codziennie przystępując do Stołu Pańskiego z takim skupieniem, że trudno byłoby pragnąć większego.

Pewien ciekawy epizod pokazuje czułość jego serca w nabożeństwie do Maryi. Chłopcy z sypialni, w której spał, postanowili własnym kosztem urządzić elegancki ołtarzyk na uroczyste zakończenie miesiąca Maryi. Dominik bardzo angażował się w przedsięwzięcie; lecz gdy podano kwotę, którą każdy miał wpłacić, zawołał: *„Ach,* to kłopot! *Do takich rzeczy potrzebne są pieniądze, a ja nie mam w kieszeni ani grosza. A jednak za wszelką cenę chcę coś zrobić”. Poszedł,* wziął książkę otrzymaną w nagrodę i po uzyskaniu pozwolenia przełożonego wrócił pełen radości, mówiąc: „Koledzy, teraz i ja mogę przyczynić się do uczczenia Maryi. Weźcie tę książkę i wykorzystajcie ją, jak tylko się da; to jest moja ofiara”.

Na widok tego spontanicznego i hojnego czynu koledzy wzruszyli się i również zapragnęli ofiarować książki oraz inne przedmioty. Urządzono z nich małą loterię, a dochód z niej z nadwyżką wystarczył na pokrycie wydatków.

Gdy ołtarz był gotowy, chłopcy chcieli obchodzić swoje święto z największą okazałością. Wszyscy byli bardzo zajęci, lecz ponieważ nie udało się zakończyć dekoracji, trzeba było pracować w nocy poprzedzającej uroczystość. „Ja — powiedział Savio — chętnie spędzę noc na pracy”. Koledzy jednak, ponieważ niedawno chorował, zmusili go do pójścia spać. Nie chciał ustąpić i położył się dopiero z posłuszeństwa. „Przynajmniej — powiedział do jednego z kolegów — gdy wszystko będzie gotowe, przyjdź natychmiast mnie obudzić, żebym był jednym z pierwszych, którzy zobaczą ołtarz ozdobiony ku czci naszej drogiej Matki”.

ROZDZIAŁ XIV. Częste przystępowanie do świętych Sakramentów Spowiedzi i

Komunii

Doświadczenie dowodzi, że najmocniejszymi podporami młodości są Sakramenty Spowiedzi i Komunii. Dajcie mi chłopca, który często przystępuje do tych Sakramentów, a zobaczycie, jak wzrasta przez lata młodzieńcze, dochodzi do wieku dojrzałego i — jeśli tak spodoba się Bogu — osiąga późną starość z takim sposobem życia, który staje się przykładem dla wszystkich, którzy go znają. Niech młodzi zrozumieją tę zasadę, aby ją praktykować; niech zrozumieją ją wszyscy, którzy zajmują się ich wychowaniem, aby ją im wpajać.

Zanim Savio przybył do Oratorium, przystępował do tych dwóch Sakramentów raz w miesiącu, zgodnie ze zwyczajem szkolnym. Później czynił to znacznie częściej. Pewnego dnia usłyszał z ambony następującą zasadę: „Młodzi, jeśli chcecie wytrwać na drodze do nieba, zaleca się wam trzy rzeczy: często przystępujcie do Sakramentu Spowiedzi, często przyjmujcie Komunię świętą i wybierzcie sobie spowiednika, przed którym odważycie się otworzyć serce; ale nie zmieniajcie go bez konieczności”. Dominik zrozumiał wagę tej rady.

Zaczął od wyboru spowiednika, którego zachował na stałe przez cały czas pobytu wśród nas. Aby spowiednik mógł wyrobić sobie właściwy sąd o jego sumieniu, zapragnął — jak już powiedziano — odbyć spowiedź generalną. Najpierw spowiadał się co dwa tygodnie, potem co osiem dni, z taką samą częstotliwością przyjmując Komunię. Widząc wielkie postępy, jakie czynił w sprawach duchowych, spowiednik zalecił mu Komunię trzy razy w tygodniu, a w ciągu roku pozwolił mu nawet na Komunię codzienną.

Przez pewien czas dręczyły go skrupuły; dlatego chciał spowiadać się co cztery dni, a nawet częściej. Kierownik duchowy nie pozwolił na to i utrzymał go w posłuszeństwie przy spowiedzi cotygodniowej.

Miał do niego nieograniczone zaufanie. Z całkowitą prostotą mówił mu o sprawach sumienia nawet poza spowiedzią. Ktoś doradzał mu czasem zmianę spowiednika, ale nigdy nie chciał tego uczynić. „Spowiednik — mawiał — jest lekarzem duszy, a lekarza zwykle się nie zmienia, chyba że straciło się do niego zaufanie albo choroba jest już niemal beznadziejna. Ja nie jestem w żadnej z tych sytuacji. Mam pełne zaufanie do mojego spowiednika, który z ojcowską dobrocią i troską pracuje dla

dobra mojej duszy; nie widzę też u siebie żadnej choroby, której on nie potrafiłby uleczyć”. Mimo to jego zwyczajny kierownik radził mu czasem zmienić spowiednika, zwłaszcza podczas rekolekcji, a Dominik natychmiast słuchał bez najmniejszej trudności.

Savio był zadowolony ze swego położenia. „Jeśli mam jakieś zmartwienie w sercu — mówił — idę do spowiednika, który radzi mi zgodnie z wolą Bożą, bo Jezus Chrystus powiedział, że dla nas głos spowiednika jest jak głos Boga. Jeśli potem chcę czegoś wielkiego, idę przyjąć świętą Hostię, w której znajduje się *corpus quod pro nobis traditum est,* czyli to samo Ciało, Krew, Dusza i Bóstwo, które Jezus Chrystus ofiarował za nas Ojcu Przedwiecznemu na krzyżu. Czego mi brakuje, aby być szczęśliwym? Niczego na tym świecie. Brakuje mi tylko radości oglądania bez zasłony w niebie Tego, którego teraz okiem wiary widzę i adoruję na ołtarzu”.

Z takimi myślami Dominik przeżywał dni prawdziwie szczęśliwe. Z nich wypływała owa pogoda ducha i niebiańska radość, które jaśniały we wszystkich jego czynach. Nie należy też sądzić, że nie rozumiał wagi tego, co czynił, albo że nie prowadził życia chrześcijańskiego odpowiedniego dla kogoś, kto pragnie częstej Komunii. Jego postępowanie było pod każdym względem bez zarzutu. Zachęciłem jego kolegów, aby powiedzieli mi, czy w ciągu trzech lat jego pobytu wśród nas zauważyli u Savio jakąś wadę wymagającą poprawy albo jakąś cnotę, którą należałoby mu zalecić; wszyscy jednak zgodnie odpowiedzieli, że nigdy nie znaleźli w nim niczego, co zasługiwałoby na poprawienie, ani nie potrafiliby wskazać cnoty, którą należałoby dodać do tych, które już posiadał.

Jego przygotowanie do przyjęcia Najświętszej Eucharystii było pobożne i budujące. Wieczorem przed Komunią, zanim położył się spać, odmawiał w tym celu modlitwę i zawsze kończył ją słowami: „Niech będzie w każdej chwili pochwalony i uwielbiony Najświętszy i Boski Sakrament”. Rano czynił odpowiednie przygotowanie, lecz jego dziękczynienie jakby nie miało granic. Zwykle, jeśli go nie zawołano, zapominał o śniadaniu, rekreacji, a czasem nawet o szkole, trwając na modlitwie — a raczej na kontemplacji dobroci Bożej, która w niewysłowiony sposób udziela ludziom skarbów swego nieskończonego miłosierdzia.

Prawdziwą rozkoszą było dla niego spędzać trochę czasu przed Jezusem w Najświętszym Sakramencie. Przynajmniej raz dziennie niezmiennie szedł Go nawiedzić, zapraszając innych, aby poszli razem z nim. Jego ulubioną modlitwą była mała koronka[8] do Najświętszego Serca Jezusowego, odmawiana jako wynagrodzenie za zniewagi, które Jezus otrzymuje od heretyków, niewierzących i

złych chrześcijan.

Aby jego Komunie przynosiły większy owoc, a zarazem każdy dzień dawał mu nową zachętę do gorliwego ich przyjmowania, każdemu dniowi wyznaczył szczególną intencję.

Tak rozdzielał swoje Komunie w ciągu tygodnia.

Niedziela. Ku czci Trójcy Przenajświętszej.

Poniedziałek. Za moich dobrodziejów duchowych i doczesnych.

Wtorek. Ku czci św. Dominika i mojego Anioła Stróża.

Środa. Do Matki Bożej Bolesnej o nawrócenie grzeszników.

Czwartek. Za ulgę dla dusz czyśćcowych.

Piątek. Ku czci Męki Jezusa Chrystusa.

Sobota. Ku czci Najświętszej Maryi Panny, aby wyprosić Jej opiekę w życiu i przy śmierci.

We wszystkich praktykach dotyczących Najświętszego Sakramentu uczestniczył z uniesieniem radości. Jeśli przypadkiem spotkał Wiatyk niesiony do chorego, natychmiast klękał tam, gdzie się znajdował, a jeśli czas pozwalał, towarzyszył mu aż do zakończenia obrzędu.

Pewnego dnia Wiatyk przechodził blisko niego podczas deszczu, a ulice były błotniste. Nie mając lepszego miejsca, ukląkł pośrodku błota. Kolega później zganił go, zauważając, że nie trzeba było tak brudzić ubrania i że Pan tego nie nakazuje. Odpowiedział z prostotą: „Moje kolana i moje spodnie należą całkowicie do Pana; wszystko więc powinno służyć oddawaniu Mu czci i chwały. Gdy On przechodzi obok mnie, nie tylko rzuciłbym się w błoto, aby Go uczcić; rzuciłbym się nawet do pieca, bo w ten sposób miałbym udział w tym ogniu nieskończonej miłości, który skłonił Go do ustanowienia tego wielkiego Sakramentu”.

Przy podobnej okazji zobaczył kiedyś żołnierza stojącego w chwili, gdy Najświętszy Sakrament przechodził bardzo blisko. Nie śmiejąc go wprost zaprosić do uklęknięcia, Dominik wyjął z kieszeni małą chusteczkę, rozłożył ją na brudnej ziemi i gestem zaprosił żołnierza, aby z niej skorzystał. Żołnierz początkowo wyglądał na zakłopotanego; potem odsunął chusteczkę i ukląkł pośrodku tej samej ulicy.

W uroczystość Bożego Ciała ubrano go wraz z kilkoma kolegami w strój klerycki i wysłano do udziału w procesji parafialnej. Poszedł z największą radością i uważał to za cenny dar, większy niż jakikolwiek inny, który mógłby otrzymać.

ROZDZIAŁ XV. Jego pokuty

Jego wiek, delikatne zdrowie i niewinne życie z pewnością zwalniałyby go od wszelkiego rodzaju pokuty; wiedział jednak, że młody człowiek z trudem zachowuje niewinność bez pokuty, i ta myśl sprawiała, że życie cierpienia wydawało mu się usłane różami. Przez pokutę nie rozumiem cierpliwego znoszenia obelg i przykrości ani nieustannego umartwienia i skupienia wszystkich zmysłów na modlitwie, w szkole, podczas nauki i rekreacji. Takie pokuty były u niego ciągłe.

Mam na myśli jedynie pokuty dręczące ciało. W swojej gorliwości postanowił pościć w każdą sobotę o chlebie i wodzie ku czci Najświętszej Dziewicy, lecz spowiednik mu tego zabronił. Chciał pościć przez cały Wielki Post, ale po tygodniu dowiedział się o tym Dyrektor domu i natychmiast zakazał. Chciał przynajmniej rezygnować ze śniadania, lecz i tego mu zabroniono. Nie pozwalano na te pokuty, aby jego już delikatne zdrowie nie zostało całkowicie zrujnowane. Cóż więc miał robić? Skoro zabroniono mu wstrzemięźliwości w jedzeniu, zaczął umartwiać ciało na inne sposoby. Wkładał do łóżka kawałki drewna i odłamki cegieł, aby nawet odpoczynek był niewygodny; chciał nosić rodzaj włosiennicy; wszystkiego tego również mu zakazano. Uciekł się więc do nowego środka. Jesienią i zimą pozwalał, by pora roku postępowała, nie dodając koców na łóżko, tak że nadszedł styczeń, a on nadal przykrywał się jak latem. Pewnego ranka, gdy z powodu niedyspozycji pozostał w łóżku, Dyrektor przyszedł go odwiedzić. Widząc go całego skulonego, podszedł i

odkrył, że ma na sobie tylko cienkie przykrycie. „Dlaczego to zrobiłeś? — zapytał. — Chcesz umrzeć z zimna?” „Nie — odpowiedział — nie umrę z zimna. Jezus w stajence w Betlejem, a potem wisząc na krzyżu, miał mniej przykrycia niż ja”.

Wtedy bezwzględnie zabroniono mu podejmowania jakiejkolwiek pokuty bez wcześniejszego uzyskania wyraźnego pozwolenia; temu nakazowi, choć z trudem, podporządkował się. Pewnego razu spotkałem go bardzo zmartwionego, gdy wołał: „Biedny ja! Naprawdę znalazłem się w kłopocie. Zbawiciel mówi, że jeśli nie będę pokutował, nie pójdę do nieba; a mnie zabrania się jakiejkolwiek pokuty. Co więc będzie z moim niebem?”

„Pokutą, której Pan od ciebie chce — powiedziałem mu — jest posłuszeństwo. Bądź posłuszny, a to ci wystarczy”.

„Czy nie mógłby mi ksiądz pozwolić na jakąś inną pokutę?”

„Tak. Możesz praktykować pokutę cierpliwego znoszenia obelg, gdy cię spotkają; przyjmowania z poddaniem gorąca, zimna, wiatru, deszczu, zmęczenia i każdej dolegliwości zdrowotnej, którą Bóg zechce na ciebie zesłać”.

„Ale takie rzeczy trzeba znosić z konieczności”.

„Wszystko, co musisz znosić z konieczności, ofiaruj Bogu, a stanie się cnotą i zasługą dla twojej duszy”.

Zadowolony i poddany tej radzie odszedł w pokoju.

ROZDZIAŁ XVI. Umartwienie wszystkich zmysłów zewnętrznych

Kto obserwował zewnętrzne opanowanie Savio, znajdował je tak naturalnym, że łatwo mógł sądzić, iż Pan stworzył go takim od początku. Jednak ci, którzy znali go z

bliska lub zajmowali się jego wychowaniem, mogą zaświadczyć, że było w tym wiele ludzkiego wysiłku wspomaganego łaską Bożą.

Jego oczy były bardzo żywe i musiał zadawać sobie niemały gwałt, aby utrzymywać je w skupieniu. „Na początku — nieraz powtarzał przyjacielowi — kiedy postanowiłem bezwzględnie panować nad wzrokiem, było mi bardzo trudno; czasem nawet dostawałem silnych bólów głowy”. Powściągliwość jego spojrzenia była taka, że wśród wszystkich, którzy go znali, nikt nie pamiętał, aby widział go choć raz spoglądającego poza granice najsurowszej skromności. „Oczy — mawiał — są jak dwa okna. Przez okna przechodzi to, na co pozwolimy. Przez te okna możemy wpuścić anioła albo diabła z rogami i pozwolić jednemu lub drugiemu stać się panem naszego serca”.

Pewnego dnia chłopiec spoza domu nierozważnie przyniósł ze sobą gazetę zawierającą nieprzyzwoite i bezbożne ilustracje. Tłum chłopców zebrał się, aby oglądać osobliwości tych obrazów, które wzbudziłyby odrazę nawet u Turków i pogan. Savio również podbiegł, sądząc z daleka, że pokazuje się jakiś obrazek religijny.

Gdy jednak podszedł bliżej, okazał zdumienie; potem, niemal się uśmiechając, wziął gazetę i porwał ją na drobne kawałki. Koledzy byli osłupiali i patrzyli na siebie bez słowa.

Wtedy odezwał się następująco: „Biedni my! Pan dał nam oczy, abyśmy oglądali piękno rzeczy przez Niego stworzonych, a wy używacie ich do patrzenia na takie nieprzyzwoitości wymyślone przez ludzką złośliwość, by szkodzić naszym duszom? Czy zapomnieliście może o tym, co tyle razy głoszono w kazaniach? Zbawiciel mówi nam, że jednym złym spojrzeniem plamimy duszę winą; a wy karmicie oczy podobnymi rzeczami?”

„My — odpowiedział jeden — patrzyliśmy na te obrazki, żeby się pośmiać”. „Tak, tak, żeby się śmiać; a tymczasem przygotowujecie się, żeby ze śmiechem pójść do piekła… ale czy śmialibyście się jeszcze, gdyby spotkało was nieszczęście wpaść do niego?”

„Ale my — odpowiedział inny — nie widzimy w tych obrazkach aż tak wiele zła”.

„Tym gorzej. To, że nie widzicie wiele zła w patrzeniu na takie nieprzyzwoitości, jest znakiem, że wasze oczy przyzwyczaiły się już do podobnych widoków; takie

przyzwyczajenie nie usprawiedliwia zła, lecz czyni was bardziej winnymi”.

„O Hiobie, o Hiobie! Byłeś stary, byłeś święty, dręczyła cię choroba, która kazała ci leżeć na gnojowisku; a jednak zawarłeś przymierze ze swoimi oczami, aby nie dawać im najmniejszej swobody w rzeczach przeciwnych skromności!”

Na te słowa wszyscy zamilkli i nikt nie odważył się już go ganić ani czynić żadnej uwagi.

Do skromności wzroku łączył wielką powściągliwość w mowie.

Słusznie czy niesłusznie, ilekroć mówił ktoś inny, on milczał i nieraz przerywał własną wypowiedź, aby dać drugiemu możliwość zabrania głosu. Jego nauczyciele i inni przełożeni zgodnie stwierdzają, że nigdy nie mieli nawet powodu, aby upomnieć go za wypowiedzenie jednego niestosownego słowa podczas nauki, w szkole, w kościele ani przy spełnianiu jakiegokolwiek obowiązku nauki czy pobożności. Co więcej, także wtedy, gdy spotykała go jakaś zniewaga, potrafił panować zarówno nad językiem, jak i nad gniewem.

Pewnego dnia upomniał kolegę z powodu złego nawyku. Zamiast przyjąć napomnienie z wdzięcznością, chłopiec dał się ponieść brutalnej gwałtowności. Obrzucił Dominika obelgami, a następnie uderzył go pięściami i kopniakami. Savio mógł bronić swoich praw siłą, ponieważ był starszy i silniejszy. Zamiast tego nie zemścił się inaczej niż po chrześcijańsku. Jego twarz stała się wprawdzie cała czerwona, lecz opanowując poryw gniewu, ograniczył się do słów: „Przebaczam ci. Źle zrobiłeś; nie postępuj tak wobec innych”.

Cóż zatem powiedzieć o umartwieniu pozostałych zmysłów ciała? Ograniczę się jedynie do przytoczenia kilku wydarzeń.

Zimą cierpiał na odmrożenia rąk. Choć były bolesne, nigdy nie słyszano, by o nich mówił lub dawał jakiś znak skargi. Przeciwnie, wydawał się niemal z nich zadowolony. „Im większe odmrożenia — mawiał — tym lepiej dla zdrowia”, mając na myśli zdrowie duszy. Wielu kolegów zaświadcza, że podczas dotkliwego zimowego chłodu zwykł chodzić do szkoły powoli, pragnąc cierpieć i czynić pokutę, gdy tylko nadarzała się sposobność. „Niejeden raz — zeznaje jeden z kolegów — widziałem go w największe zimno, jak drapał skórę, a nawet ciało igłami i stalówkami, aby powstałe w ten sposób ranki bardziej upodobniły go do jego Boskiego Mistrza”.

W społecznościach młodzieży spotyka się takich, którzy nigdy nie są z niczego zadowoleni. Raz skarżą się na nabożeństwa, innym razem na dyscyplinę, odpoczynek czy porządek przy stole; we wszystkim znajdują coś do skrytykowania.

Tacy ludzie są prawdziwym krzyżem dla przełożonych, ponieważ niezadowolenie jednej osoby udziela się innym, czasem z niemałą szkodą dla wspólnoty. Postępowanie Savio było całkowicie przeciwne.

Nigdy z jego ust nie wyszła skarga ani na letni upał, ani na zimowy chłód. Czy pogoda była dobra, czy zła, pozostawał zawsze jednakowo pogodny. Cokolwiek podawano do stołu, okazywał pełne zadowolenie. Co więcej, z godną podziwu pomysłowością znajdował w tym sposób umartwienia. Gdy coś inni krytykowali jako zbyt dobrze ugotowane lub surowe, za mało albo za bardzo słone, on przeciwnie — okazywał zadowolenie i mówił, że jest dokładnie takie, jak lubi.

Jego zwyczajną praktyką było pozostawanie w refektarzu po kolegach, zbieranie okruszyn chleba pozostawionych na stole lub rozsypanych na podłodze i zjadanie ich, jakby były czymś wybornym. Tym, którzy okazywali zdziwienie, ukrywał swego ducha pokuty, mówiąc: „Bochenków nie je się w całości, a jeśli są już rozdrobnione na okruszyny, to część pracy dla zębów została już wykonana”.

Każdą resztkę zupy, drugiego dania czy jakiegokolwiek innego pokarmu podnosił i zjadał. Nie czynił tego z łakomstwa, gdyż często oddawał własną porcję innym kolegom.

Zapytany, dlaczego tak troskliwie zbiera te resztki, które u niektórych budziłyby odrazę, odpowiedział:

„Wszystko, co mamy na świecie, jest cennym darem Boga; spośród wszystkich Jego darów, po łasce świętej, największym jest pokarm, dzięki któremu zachowuje nasze życie. Dlatego nawet najmniejsza cząstka tego daru zasługuje na naszą wdzięczność i jest naprawdę godna, aby strzec jej z największą troską”.

Czyszczenie butów, szczotkowanie ubrań kolegów, wykonywanie najpokorniejszych posług wobec chorych, zamiatanie i podobne zajęcia były dla niego miłą rekreacją. „Niech każdy robi to, co potrafi — mawiał. — Ja nie jestem zdolny do wielkich rzeczy, ale to, co mogę uczynić, chcę czynić dla większej chwały Bożej; i ufam, że Bóg w swojej nieskończonej dobroci raczy przyjąć te moje ubogie ofiary”.

Spożywanie rzeczy przeciwnych jego upodobaniu, unikanie tych, które by mu smakowały, panowanie nad wzrokiem nawet w rzeczach obojętnych, pozostawanie tam, gdzie wyczuwał nieprzyjemny zapach, wyrzekanie się własnej woli oraz znoszenie z doskonałym poddaniem wszystkiego, co sprawiało cierpienie jego ciału lub duchowi — oto akty cnoty, które Dominik praktykował każdego dnia, a można powiedzieć: w każdej chwili życia.

Pomijam więc bardzo wiele innych zdarzeń tego rodzaju, które wszystkie pomagają zrozumieć, jak wielki był u Dominika duch pokuty, miłości i umartwienia wszystkich zmysłów, a zarazem jak pomysłowa była jego cnota, która potrafiła wykorzystywać wielkie i małe sposobności, a nawet rzeczy obojętne, aby uświęcać się i pomnażać zasługi przed Panem.

ROZDZIAŁ XVII. Towarzystwo Niepokalanego Poczęcia

Można powiedzieć, że całe życie Dominika było jednym ćwiczeniem nabożeństwa do Najświętszej Maryi Panny. Nie przepuszczał żadnej sposobności, by oddać Jej jakiś hołd. W 1854 roku najwyższy Zwierzchnik Kościoła określił jako dogmat wiary Niepokalane Poczęcie Maryi. Savio gorąco pragnął, aby myśl o tym wzniosłym tytule nadanym przez Kościół Królowej Nieba stała się wśród nas żywa i trwała. „Chciałbym — mawiał — zrobić coś ku czci Maryi, ale zrobić to szybko, bo obawiam się, że nie mam już wiele czasu”.

Kierowany zatem swoją zwykłą, pomysłową miłością, wybrał kilku zaufanych kolegów i zaprosił ich do połączenia się z nim w stowarzyszenie nazwane Towarzystwem *Niepokalanego Poczęcia.*

Celem było wyjednanie opieki wielkiej Matki Bożej w życiu, a zwłaszcza w godzinie śmierci. Savio zaproponował dwa środki do tego celu: praktykowanie i szerzenie uczynków pobożności ku czci Maryi Niepokalanej oraz częstą Komunię. W

porozumieniu z przyjaciółmi ułożył regulamin i po długim przygotowaniu, 8 czerwca 1856 roku, dziewięć miesięcy przed śmiercią, odczytał go razem z nimi przed ołtarzem Najświętszej Dziewicy. Chętnie przytaczam go tutaj w przekonaniu, że może posłużyć innym jako wskazówka do podobnego działania. Brzmi on następująco.

„My, Dominik Savio itd. (tu następują imiona pozostałych kolegów), aby zapewnić sobie w życiu i przy śmierci opiekę Najświętszej Niepokalanej Dziewicy i całkowicie poświęcić się Jej świętej służbie, dnia ósmego czerwca, wszyscy umocnieni świętymi Sakramentami Spowiedzi i Komunii oraz zdecydowani wyznawać wobec naszej Matki synowskie i stałe nabożeństwo, oświadczamy przed Jej ołtarzem, za zgodą naszego Kierownika duchowego, że pragniemy naśladować, na ile pozwalają nam siły, LUIGIEGO COMOLLO[9].

Dlatego zobowiązujemy się:

1. Ściśle zachowywać regulamin domu.
2. Budować naszych kolegów, upominając ich z miłością i zachęcając do dobra słowem, a jeszcze bardziej dobrym przykładem.
3. Dokładnie wykorzystywać czas. Aby zapewnić sobie wytrwanie w sposobie życia, do którego zamierzamy się zobowiązać, przedstawiamy naszemu Dyrektorowi następujący regulamin.

Nr 1. Za naszą pierwszą regułę przyjmujemy ścisłe posłuszeństwo przełożonym, którym poddajemy się z bezgranicznym zaufaniem.

Nr 2. Wypełnianie własnych obowiązków będzie naszym pierwszym i szczególnym zajęciem.

Nr 3. Wzajemna miłość niech zjednoczy nasze serca i każe nam bez różnicy kochać wszystkich naszych braci; będziemy ich łagodnie upominać, gdy poprawienie wyda się pożyteczne.

Nr 4. Co tydzień zostanie wyznaczone pół godziny na nasze wspólne spotkanie; po

wezwaniu Ducha Świętego i krótkiej lekturze duchowej omówimy postępy Towarzystwa w pobożności i cnocie.

Nr 5. Prywatnie będziemy jednak wzajemnie zwracać sobie uwagę na te wady, z których powinniśmy się poprawić.

Nr 6. Będziemy się starali nie sprawiać sobie nawzajem nawet najmniejszej przykrości, cierpliwie znosząc kolegów i inne osoby uciążliwe.

Nr 7. Nie przepisuje się żadnej szczególnej modlitwy, ponieważ czas pozostały po wypełnieniu obowiązku zostanie przeznaczony na to, co okaże się najbardziej pożyteczne dla naszych dusz.

Nr 8. Przyjmujemy jednak następujące nieliczne praktyki:

- 1. Częste przystępowanie do świętych Sakramentów, ilekroć otrzymamy pozwolenie.
- 2. Będziemy przystępować do Stołu Eucharystycznego w każdą niedzielę, w święta nakazane, podczas wszystkich nowenn oraz w uroczystości Najświętszej Maryi Panny i świętych patronów Oratorium.
- 3. W ciągu tygodnia będziemy się starać przystępować do niego w czwartek, chyba że przeszkodzi nam jakieś poważne zajęcie.

Nr 9. Każdego dnia, szczególnie podczas odmawiania Różańca, będziemy polecać Maryi nasze stowarzyszenie, prosząc Ją o wyjednanie nam łaski wytrwania.

Nr 10. Będziemy się starali poświęcać każdą sobotę Maryi przez jakąś szczególną praktykę lub akt chrześcijańskiej pobożności ku czci Jej Niepokalanego Poczęcia.

Nr 11. Dlatego będziemy zachowywać szczególnie budującą postawę na modlitwie, przy pobożnej lekturze, podczas nabożeństw, w czasie nauki i w szkole.

Nr 12. Z największą troską będziemy zachowywać święte słowo Boże i przypominać sobie usłyszane prawdy.

Nr 13. Będziemy unikać wszelkiej straty czasu, aby uchronić nasze dusze od pokus, które zwykle szczególnie mocno napadają nas w bezczynności; dlatego:

Nr 14. Po spełnieniu obowiązków należących do każdego z nas pozostałe wolne godziny przeznaczymy na pożyteczne zajęcia, takie jak pobożna i pouczająca

lektura albo modlitwa.

Nr 15. Rekreacja jest pożądana, a przynajmniej dozwolona, po posiłkach, po szkole i po nauce.

Nr 16. Będziemy się starali informować przełożonych o wszystkim, co może służyć naszemu postępowaniu moralnemu.

Nr 17. Będziemy także oszczędnie korzystać z pozwoleń udzielanych nam przez dobroć przełożonych, ponieważ jednym z naszych szczególnych celów jest z pewnością dokładne zachowywanie regulaminu domu, który zbyt często bywa naruszany przez nadużywanie takich pozwoleń.

Nr 18. Będziemy przyjmować od przełożonych wszystko, co zostanie nam wyznaczone do jedzenia, nigdy nie skarżąc się na porządek stołu, i będziemy odwodzić innych od podobnych skarg.

Nr 19. Kto pragnie zostać członkiem tego Towarzystwa, powinien najpierw oczyścić sumienie w Sakramencie Spowiedzi i posilić się przy Stole Eucharystycznym; następnie przez tydzień próby da dowód swego postępowania, uważnie przeczyta niniejszy regulamin i obieca Bogu oraz Najświętszej Maryi Niepokalanej jego dokładne zachowywanie.

Nr 20. W dniu przyjęcia bracia przystąpią do Komunii świętej, prosząc Boski Majestat, aby udzielił nowemu koledze cnót wytrwałości, posłuszeństwa i prawdziwej miłości Boga.

Nr 21. Towarzystwo oddaje się pod opiekę Niepokalanego Poczęcia, którego tytuł będziemy nosić i którego medalik nosić będziemy jako znak nabożeństwa. Szczere, synowskie i bezgraniczne zaufanie do Maryi, szczególna czułość wobec Niej i stałe nabożeństwo uczynią nas wyższymi ponad każdą przeszkodę, stałymi w postanowieniach, surowymi wobec siebie, pełnymi miłości wobec bliźnich i dokładnymi we wszystkim.

Polecamy ponadto, aby bracia wypisali święte imiona Jezusa i Maryi najpierw w swoich sercach i umysłach, a potem na książkach i przedmiotach, które mogą znaleźć się przed ich oczami.

Prosimy naszego Dyrektora o zbadanie niniejszego regulaminu i przedstawienie nam swojego osądu; zapewniamy go, że wszyscy całkowicie zależymy od jego woli.

Może dokonać w tej regule wszelkich zmian, które uzna za stosowne.

A Maryja? Niech błogosławi naszym wysiłkom, bo natchnienie do powołania tego pobożnego Towarzystwa pochodzi całkowicie od Niej. Niech uśmiechnie się do naszych nadziei i wysłucha naszych modlitw; a my, ukryci pod Jej płaszczem i umocnieni Jej opieką, stawimy czoło burzom tego zdradliwego morza i odeprzemy napaści piekielnego nieprzyjaciela. Tak pocieszeni przez Nią mamy nadzieję być zbudowaniem dla naszych kolegów, pociechą dla przełożonych i Jej umiłowanymi synami; a jeśli Bóg udzieli nam łaski i życia, aby służyć Mu w posłudze kapłańskiej, będziemy się starali pełnić ją ze wszystkich sił i z największą gorliwością. Nie ufając własnym siłom, lecz bezgranicznie ufając pomocy Bożej, możemy mieć nadzieję, że po tej dolinie łez, pocieszeni obecnością Maryi, w owej ostatniej godzinie bezpiecznie osiągniemy wieczną nagrodę, którą Bóg zachowuje dla tych, którzy służą Mu w duchu i prawdzie.

Dyrektor Oratorium rzeczywiście przeczytał powyższy regulamin życia i po uważnym zbadaniu zatwierdził go pod następującymi warunkami:

1. Powyższe obietnice nie mają mocy ślubów.
2. Nie obowiązują też pod grzechem.
3. Na zebraniach należy ustalić jakąś zewnętrzną pracę miłosierdzia, na przykład sprzątanie kościoła, pomoc przy katechizacji albo nauczanie katechizmu mniej wykształconego dziecka.
4. Dni tygodnia należy rozdzielić w taki sposób, aby każdego dnia ktoś przystępował do Komunii.
5. Nie wolno dodawać żadnej praktyki religijnej bez szczególnego pozwolenia przełożonych.
6. Podstawowym celem powinno być szerzenie nabożeństwa do Najświętszej Maryi Niepokalanej i do Najświętszego Sakramentu.
7. Przed przyjęciem kogokolwiek należy dać mu do przeczytania żywot Luigiego Comollo[10].

ROZDZIAŁ XVIII. Jego szczególne przyjaźnie — Relacje z młodym Camillem Gavio

Wszyscy byli przyjaciółmi Dominika; kto go nie kochał, szanował go za jego cnoty. Potrafił żyć dobrze ze wszystkimi. Był tak mocno ugruntowany w cnocie, że radzono mu przebywać z niektórymi raczej niesfornymi chłopcami, aby spróbować pozyskać ich dla Pana. Wykorzystywał rekreację, gry, a nawet obojętne rozmowy, aby wyciągnąć z nich pożytek duchowy. Jego szczególnymi przyjaciółmi byli jednak ci, którzy należeli do Towarzystwa Niepokalanego Poczęcia. Z nimi — jak już powiedziano — spotykał się raz na rozmowy duchowe, innym razem, aby wykonywać ćwiczenia chrześcijańskiej pobożności. Zebrania odbywały się za pozwoleniem przełożonych, ale prowadzili i regulowali je sami chłopcy. Omawiali, jak obchodzić nowenny przed głównymi uroczystościami, dzielili między siebie Komunie, które każdy miał przyjąć w wyznaczone dni tygodnia, i przydzielali sobie tych chłopców, którzy potrzebowali pomocy moralnej; każdy brał takiego chłopca jako swego podopiecznego i protegowanego *i* używał wszelkich środków podpowiadanych przez chrześcijańską miłość, aby skierować go ku cnocie.

Savio należał do najaktywniejszych i można powiedzieć, że podczas tych zebrań pełnił rolę roztropnego doradcy.

Można by wymienić kilku kolegów Savio, którzy uczestniczyli w tych spotkaniach i mieli z nim wiele do czynienia; ponieważ jednak żyją jeszcze, roztropność radzi o nich nie mówić. Wspomnę tylko dwóch, którzy zostali już wezwani do ojczyzny niebieskiej: Camilla Gavio z Tortony i Giovanniego Massaglia z Marmorito.

Gavio mieszkał wśród nas tylko dwa miesiące, a czas ten wystarczył, aby pozostawić wśród kolegów świętą pamięć o sobie.

Jego jaśniejąca pobożność i wielki talent do malarstwa oraz rzeźby skłoniły władze jego miasta do udzielenia mu pomocy, aby mógł przybyć do Turynu i kontynuować studia artystyczne. W domu przeszedł ciężką chorobę; gdy przybył do Oratorium, czy to dlatego, że był rekonwalescentem, czy dlatego, że znajdował się daleko od

domu i krewnych, czy też dlatego, że był pośród zupełnie nieznanych sobie chłopców, stał i patrzył na bawiących się innych, pogrążony w poważnych myślach. Savio dostrzegł go i natychmiast podszedł, aby go pocieszyć, prowadząc z nim następującą dokładnie rozmowę.

Savio zaczął: „No cóż, drogi przyjacielu, jeszcze nikogo nie znasz, prawda?”

Gavio. „To prawda, ale bawię się, patrząc, jak inni się bawią”.

„Jak się nazywasz?”

„Camillo Gavio z Tortony”.

„Ile masz lat?”

„Piętnaście”.

„Skąd bierze się ten smutek, który widać na twojej twarzy? Czy może byłeś chory?”

„Tak, rzeczywiście byłem chory. Cierpiałem na chorobę z kołataniem serca, która doprowadziła mnie na skraj grobu, i jeszcze nie wróciłem całkowicie do zdrowia”.

„Chcesz wyzdrowieć, prawda?”

„Nieszczególnie. Chcę pełnić wolę Bożą”.

Te ostatnie słowa ukazały Gavia jako chłopca o niepospolitej pobożności i przyniosły prawdziwą pociechę sercu Savio, który kontynuował rozmowę z pełnym zaufaniem: „Kto chce pełnić wolę Bożą, ten chce się uświęcić; chcesz więc zostać świętym?”

„Bardzo tego pragnę”.

„Dobrze. Powiększymy liczbę naszych przyjaciół; będziesz jednym z tych, którzy uczestniczą w tym, co robimy, aby zostać świętymi”.

„To, co mówisz, jest piękne, ale nie wiem, co powinienem robić!”

„Powiem ci w kilku słowach. Wiedz, że tutaj świętość polega dla nas na tym, by być bardzo wesołymi. Będziemy po prostu starali się unikać grzechu jako wielkiego wroga, który odbiera nam łaskę Bożą i pokój serca; będziemy dokładnie wypełniać

obowiązki i często korzystać z praktyk pobożnych. Zacznij już dziś od zapisania sobie na pamiątkę: *Servite Domino in laetitia* — służcie Panu w świętej radości”.

Rozmowa ta była jak balsam na strapienia Gavia i przyniosła mu prawdziwą pociechę. Od tego dnia stał się wiernym przyjacielem Savio i stałym naśladowcą jego cnót. Jednak choroba, która doprowadziła go na skraj grobu i nie została całkowicie usunięta, powróciła po dwóch miesiącach; pomimo wszelkiej troski lekarzy i przyjaciół nie znaleziono lekarstwa. Po kilku dniach pogorszenia, po przyjęciu ostatnich Sakramentów z wielkim zbudowaniem, oddał duszę Stwórcy 30 grudnia 1856 roku[11].

Dominik kilka razy odwiedzał go w czasie choroby i proponował, że będzie czuwał przy nim nocami, choć nie otrzymał na to pozwolenia. Kiedy dowiedział się, że Gavio zmarł, chciał zobaczyć go po raz ostatni i patrząc na jego martwe ciało, powiedział z głębokim wzruszeniem:

„Żegnaj, Gavio. Jestem wewnętrznie przekonany, że uleciałeś do nieba; przygotuj więc miejsce także dla mnie. Zawsze będę twoim przyjacielem, lecz dopóki Pan pozostawi mnie przy życiu, będę modlił się za spokój twojej duszy”.

Następnie wraz z innymi kolegami udał się do pokoju zmarłego, aby odmówić Oficjum za zmarłych; w ciągu dnia ofiarowano także inne modlitwy. Potem zaprosił kilku lepszych kolegów szkolnych do przyjęcia Komunii świętej i sam kilkakrotnie ją przyjął za spokój duszy zmarłego przyjaciela.

Między innymi mówił do przyjaciół: „Moi drodzy, nie zapominajmy o duszy naszego przyjaciela. Mam nadzieję, że już teraz cieszy się chwałą nieba; mimo to nie ustawajmy w modlitwie za spokój jego duszy. Cokolwiek czynimy teraz dla niego, Bóg sprawi, że kiedyś inni uczynią to samo dla nas”.

ROZDZIAŁ XIX. Jego relacje z młodym

Giovannim Massaglia

Relacje Savio z Massaglią z Marmorito, miejscowości położonej niedaleko Mondonio, były dłuższe i bardziej zażyłe.

Obaj przybyli do domu Oratorium w tym samym czasie; pochodzili z sąsiednich miejscowości; obaj mieli to samo pragnienie obrania stanu duchownego i szczere dążenie do świętości.

„Nie wystarczy — powiedział pewnego dnia Dominik do przyjaciela — nie wystarczy mówić, że chcemy zostać klerykami; trzeba pracować nad zdobyciem cnót koniecznych do tego stanu”.

„To prawda — odpowiedział przyjaciel — ale jeśli zrobimy ze swej strony wszystko, co możemy, Bóg nie odmówi nam łaski i siły, abyśmy zasłużyli na tak wielką łaskę, jaką jest zostanie sługami Jezusa Chrystusa”.

Gdy nadszedł okres wielkanocny, odbyli wraz z innymi chłopcami ćwiczenia duchowne w sposób najbardziej przykładny. Pod koniec rekolekcji Dominik powiedział do kolegi: „Chcę, żebyśmy byli prawdziwymi przyjaciółmi — prawdziwymi przyjaciółmi w sprawach duszy. Dlatego pragnę, aby odtąd każdy z nas był doradcą drugiego we wszystkim, co może przyczynić się do naszego dobra duchowego. Jeśli więc zauważysz we mnie jakąś wadę, powiedz mi natychmiast, abym mógł się poprawić; a jeśli zobaczysz jakieś dobro, które mógłbym uczynić, nie zaniedbuj mi go wskazać”.

„Chętnie będę to dla ciebie robił, choć ty tego nie potrzebujesz; ale ty musisz robić to o wiele bardziej dla mnie, bo jak wiesz, ze względu na wiek, naukę i klasę jestem narażony na większe niebezpieczeństwa”.

„Zostawmy komplementy i pomagajmy sobie wzajemnie czynić dobro dla naszych dusz”.

Od tej chwili Savio i Massaglia stali się prawdziwymi przyjaciółmi, a ich przyjaźń trwała, ponieważ była oparta na cnocie; wręcz współzawodniczyli ze sobą przykładem i radą, pomagając sobie wzajemnie unikać zła i praktykować dobro.

Pod koniec roku szkolnego, po egzaminach, każdemu chłopcu z domu pozwolono spędzić wakacje albo u rodziców, albo u jakiegoś krewnego.

Niektórzy, poruszeni pragnieniem postępu w nauce i lepszego oddawania się praktykom pobożnym, woleli pozostać w Oratorium; wśród nich byli Savio i Massaglia. Wiedząc, jak bardzo rodziny oczekują ich z radością i jak potrzebują także odnowić siły, powiedziałem do obu: „Dlaczego nie pojedziecie na kilka dni wakacji?” Zamiast odpowiedzieć, zaczęli się śmiać. „Co ma znaczyć ten śmiech?”

Dominik odpowiedział: „Wiemy, że krewni czekają na nas z radością; my także ich kochamy i chętnie byśmy pojechali. Ale wiemy, że ptak, dopóki jest w klatce, wprawdzie nie cieszy się wolnością, lecz jest bezpieczny od jastrzębia. Jeśli natomiast znajdzie się poza klatką, lata, gdzie chce, ale z chwili na chwilę może dostać się w szpony piekielnego jastrzębia”.

Mimo to uznałem za lepsze wysłać ich na pewien czas do domu dla zdrowia. Ustąpili mojemu życzeniu jedynie z posłuszeństwa i pozostali tam tylko tyle dni, ile im ściśle nakazano.

Gdybym chciał opisać piękne przykłady cnoty dawane przez młodego Massaglię, musiałbym w dużej części powtórzyć to, co powiedziano o Savio, którego był wiernym naśladowcą przez całe życie. Cieszył się dobrym zdrowiem i dawał znakomite nadzieje w toku nauki. Po ukończeniu retoryki pomyślnie zdał egzamin przed przyjęciem stroju kleryckiego. Lecz ten strój, który tak bardzo kochał i szanował, mógł nosić tylko przez kilka miesięcy. Dotknięty przeziębieniem, które wydawało się zwykłą niedyspozycją, nie chciał nawet przerywać nauki. Aby zapewnić mu dokładne leczenie i odsunąć go od możliwości studiowania, rodzice zabrali go do domu. Podczas tego pobytu napisał do przyjaciela list następującej treści:

Drogi przyjacielu,

Sądziłem, że spędzę w domu tylko kilka dni, a potem wrócę do Oratorium, dlatego zostawiłem tam wszystkie rzeczy szkolne. Teraz jednak widzę, że sprawa się przedłuża, a wynik mojej choroby staje się coraz bardziej niepewny. Lekarz mówi

mi, że jest lepiej. Mnie wydaje się, że jest gorzej. Zobaczymy, kto ma rację. Drogi Dominiku, głęboko cierpię, będąc daleko od ciebie i od Oratorium, bo tutaj nie mam łatwości w korzystaniu z praktyk pobożnych. Pocieszam się jedynie wspomnieniem tych dni, które wyznaczyliśmy sobie, aby przygotowywać się i razem przystępować do Komunii świętej.

Mam jednak nadzieję, że choć jesteśmy rozdzieleni ciałem, nie będziemy rozdzieleni duchem.

Tymczasem proszę cię, idź do sali nauki i złóż urzędową wizytę mojej ławce. Znajdziesz tam kilka zapisanych kartek; obok nich jest Kempis, czyli De imitatione *Christi. Zbierz* wszystko w jedną paczkę i przyślij mi. Uważaj, żeby książka była po łacinie; bo choć lubię przekład, pozostaje on przekładem, w którym nie znajduję tej przyjemności, jaką daje mi łaciński oryginał. Męczy mnie nicnierobienie; mimo to lekarz zabrania mi się uczyć. Dużo chodzę po pokoju i często powtarzam sobie: Czy wyzdrowieję z tej choroby? Czy wrócę zobaczyć kolegów? Czy to będzie moja ostatnia choroba? Co z tego wszystkiego wyniknie, wie tylko Bóg. Wydaje mi się, że jestem gotów we wszystkich trzech przypadkach spełnić świętą i godną miłości wolę Bożą.

Jeśli masz dla mnie jakąś dobrą radę, proszę, napisz. Powiedz mi, jak twoje zdrowie; pamiętaj o mnie w modlitwach, a zwłaszcza gdy przyjmujesz Komunię świętą. Odwagi; kochaj mnie całym sercem w Panu. Jeśli nie będziemy mogli długo pozostawać razem w obecnym życiu, mam nadzieję, że pewnego dnia będziemy mogli żyć szczęśliwie w słodkim towarzystwie w błogosławionej wieczności.

Pozdrów naszych przyjaciół, a zwłaszcza braci z Towarzystwa Niepokalanego Poczęcia. Niech Pan będzie z tobą i wierz, że zawsze jestem twoim najserdeczniejszym

GIOVANNI MASSAGLIA.

Dominik spełnił prośbę przyjaciela i wysyłając mu to, o co prosił, dołączył następujący list:

Mój drogi Massaglia,

Twój list sprawił mi radość, bo upewnił mnie, że jeszcze żyjesz; od czasu twojego wyjazdu nie otrzymaliśmy bowiem żadnej wiadomości i nie wiedziałem, czy mam za ciebie mówić Gloria Patri, *czy De* profundis. *Otrzymasz* rzeczy, o które prosiłeś. Muszę tylko zauważyć, że Kempis jest dobrym przyjacielem, ale umarł i nigdy nie rusza się ze swojego miejsca. Trzeba więc, żebyś sam go poszukał, potrząsnął nim, przeczytał go i starał się wprowadzić w czyn to, co tam czytasz.

Tęsknisz za sposobnościami, jakie mamy tutaj do praktyk pobożnych, i masz rację. Kiedy jestem w Mondonio, mam tę samą trudność. Zwykłem ją wynagradzać codziennym nawiedzeniem Najświętszego Sakramentu i staraniem się zabierać ze sobą tylu kolegów, ilu mogłem. Oprócz Kempisa czytałem *„Ukryty skarb we Mszy świętej”* błogosławionego Leonarda. Jeśli uznasz *to* za dobre, rób podobnie. Piszesz mi, że nie wiesz, czy wrócisz do Oratorium, aby nas odwiedzić; moja biedna powłoka również wydaje się bardzo zużyta i wszystko każe mi przewidywać, że szybko zbliżam się do końca moich studiów i życia. W każdym razie zróbmy tak: módlmy się jeden za drugiego, abyśmy obaj umarli dobrą śmiercią. Ten z nas, który pierwszy pójdzie do Raju, niech przygotuje miejsce dla przyjaciela, a gdy ten przyjdzie do niego, niech wyciągnie rękę i wprowadzi go do mieszkania niebieskiego.

Niech Bóg zawsze zachowuje nas w swojej łasce i pomoże nam zostać świętymi — ale świętymi szybko, bo obawiam się, że może zabraknąć czasu. Wszyscy nasi przyjaciele tęsknią za twoim powrotem do Oratorium i przesyłają ci serdeczne pozdrowienia w Panu.

Z braterską miłością i przywiązaniem pozostaję zawsze

twoim najserdeczniejszym przyjacielem,

DOMINIK SAVIO.

Początkowo choroba młodego Massaglii wydawała się lekka; kilka razy zdawało się, że całkowicie ją pokonano, kilka razy powracała, aż niemal niespodziewanie doszedł do końca życia.

„Miał czas — napisał teolog Valfré, jego kierownik duchowy podczas wakacji — przyjąć z największym zbudowaniem wszystkie pociechy naszej świętej religii katolickiej; umarł śmiercią sprawiedliwego, który opuszcza świat, aby ulecieć do nieba[12]”.

Po stracie tego przyjaciela Savio był głęboko zasmucony i choć poddany woli Bożej, przez kilka dni go opłakiwał. Po raz pierwszy widziałem tę anielską twarz zasmuconą i zapłakaną z bólu. Jedyną jego pociechą była modlitwa i polecanie innym modlitw za zmarłego przyjaciela. Nieraz słyszano, jak wołał: „Drogi Massaglia, umarłeś i mam nadzieję, że jesteś już z Gaviem w Raju; a kiedy ja pójdę, aby połączyć się z wami w bezmiernym szczęściu nieba?”

Przez cały czas, jaki Dominik przeżył po śmierci przyjaciela, zawsze pamiętał o nim w swoich praktykach pobożnych i mawiał, że nie może pójść na Mszę świętą ani uczestniczyć w żadnym nabożeństwie, nie polecając Bogu duszy tego, który za życia tak wiele pracował dla jego dobra. Strata ta była bardzo bolesna dla czułego serca Dominika i wyraźnie odbiła się na jego zdrowiu.

ROZDZIAŁ XX. Szczególne łaski i niezwykłe wydarzenia

Do tego miejsca opowiadałem rzeczy, które nie zawierają nic nadzwyczajnego, chyba że zechcemy nazwać nadzwyczajnym stale dobre postępowanie, które przez niewinność życia, uczynki pokutne i praktykowanie pobożności stawało się coraz doskonalsze. Można też nazwać nadzwyczajnymi żywość jego wiary, moc nadziei, gorącą miłość i wytrwanie w dobru aż do ostatniego tchnienia. Tutaj jednak chcę przedstawić szczególne łaski i pewne niezwykłe wydarzenia, które mogą być może podlegać krytyce. Dlatego uważam za stosowne zwrócić czytelnikowi uwagę, że to, co tutaj opowiadam, bardzo przypomina wydarzenia zapisane w Biblii i w żywotach świętych; relacjonuję rzeczy, które widziałem własnymi oczami, i zapewniam czytelnika, że skrupulatnie piszę prawdę, wszystko zaś inne pozostawiam całkowicie

osądowi roztropnego czytelnika. Oto relacja.

Kilka razy, gdy szedł do kościoła, zwłaszcza w dniach, gdy Dominik przyjmował Komunię świętą albo gdy wystawiony był Najświętszy Sakrament, pozostawał jakby porwany poza zmysły, tak że upływał nawet bardzo długi czas, jeśli nie wezwano go do spełnienia zwykłych obowiązków.

Pewnego dnia nie było go na śniadaniu, w szkole ani nawet na obiedzie i nikt nie wiedział, gdzie się znajduje; nie było go w sali nauki ani w łóżku. Gdy doniesiono o tym Dyrektorowi, ten domyślił się tego, co rzeczywiście miało miejsce: że Dominik jest w kościele, jak zdarzało się już wcześniej. Wszedł do kościoła, udał się do chóru i zobaczył go stojącego nieruchomo jak kamień. Jedną nogę miał skrzyżowaną z drugą, jedną rękę opartą na pulpicie antyfonarza, drugą na piersi, twarz nieruchomą i zwróconą ku tabernakulum. Nie poruszał nawet powieką. Dyrektor zawołał go, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Potrząsnął nim, a wtedy Dominik zwrócił ku niemu oczy i powiedział: „Och! Czy Msza już się skończyła?" „Popatrz — dodał Dyrektor, pokazując zegarek — jest druga". Dominik pokornie poprosił o przebaczenie za naruszenie regulaminu domu, a Dyrektor wysłał go na obiad, mówiąc: „Jeśli ktoś zapyta cię: «Skąd przychodzisz?», odpowiedz, że wykonywałeś moje polecenie". Powiedział to, aby uniknąć niezręcznych pytań, które koledzy mogliby mu zadać.

Innego dnia, po zwykłym dziękczynieniu po Mszy, miałem już wychodzić z zakrystii, gdy usłyszałem w chórze głos jakby kogoś prowadzącego rozmowę. Poszedłem zobaczyć i znalazłem Savio, który mówił, a potem robił przerwę, jakby zostawiał czas na odpowiedź. Między innymi wyraźnie usłyszałem te słowa: „Tak, mój Boże, już Ci powiedziałem i mówię Ci jeszcze raz: kocham Cię i chcę Cię kochać aż do śmierci. Jeśli widzisz, że mam Cię obrazić, ześlij mi śmierć: tak, raczej śmierć niż grzech".

Czasem pytałem go, co robi podczas tych przedłużających się chwil, a on z całkowitą prostotą odpowiadał: „Biedny ja! Przychodzi na mnie roztargnienie i wtedy tracę wątek modlitw, a wydaje mi się, że widzę tak piękne rzeczy, iż godziny mijają jak chwila".

Pewnego dnia wszedł do mojego pokoju, mówiąc: „Szybko, proszę iść ze mną; trzeba spełnić dobry uczynek". „Dokąd chcesz mnie zaprowadzić?" — zapytałem. „Szybko — dodał — szybko". Wciąż się wahałem, lecz ponieważ nalegał, a przy innych okazjach przekonałem się już o wadze podobnych zaproszeń, zgodziłem się. Poszedłem za nim. Wyszedł z domu, przeszedł jedną ulicę, potem drugą i jeszcze

jedną, ale nie zatrzymywał się ani nie mówił; wreszcie skręcił w inną ulicę. Szedłem za nim od drzwi do drzwi, aż się zatrzymał. Wszedł po schodach, wspiął się na trzecie piętro i mocno zadzwonił. „Tutaj ksiądz musi wejść” — powiedział i natychmiast odszedł.

Otworzono mi drzwi. „Och, szybko! — powiedziano mi. — Szybko, bo inaczej będzie za późno. Mój mąż miał nieszczęście zostać protestantem; teraz jest bliski śmierci i prosi, aby pozwolono mu umrzeć jako dobremu katolikowi”.

Natychmiast udałem się do łóżka chorego, który okazywał wielki niepokój, by uporządkować sprawy sumienia. Załatwiwszy z największym pośpiechem sprawy tej duszy, zobaczyłem przybywającego proboszcza św. Augustyna; jego także już wezwano. Ledwie zdążył udzielić Sakramentu Ostatniego Namaszczenia jednym tylko namaszczeniem, gdy chory umarł.

Pewnego dnia chciałem zapytać Savio, skąd wiedział, że w tym miejscu znajduje się chory człowiek. Spojrzał na mnie ze smutkiem i zaczął płakać. Nie zadawałem mu już więcej pytań.

Niewinność życia, miłość Boga i pragnienie rzeczy niebieskich doprowadziły ducha Dominika do takiego stanu, że można było powiedzieć, iż zwykle był pogrążony w Bogu.

Czasem opuszczał rekreację, zwracał wzrok gdzie indziej i zaczynał chodzić samotnie. Zapytany, dlaczego w ten sposób oddala się od kolegów, odpowiadał: „Przychodzą na mnie zwykłe roztargnienia i wydaje mi się, że nad moją głową otwiera się Raj; muszę odejść od kolegów, żeby nie powiedzieć im rzeczy, z których być może by się śmiali”. Pewnego dnia podczas rekreacji mówiono o wielkiej nagrodzie, jaką Bóg przygotował w niebie dla tych, którzy zachowują szatę niewinności. Między innymi powiedziano: „Niewinni są w niebie najbliżej osoby naszego Boskiego Zbawiciela i będą Mu na wieki śpiewać szczególne hymny chwały”.

To wystarczyło, by jego duch wzniosł się ku Panu; pozostał nieruchomy i upadł jak martwy w ramiona jednego z obecnych.

Takie uniesienia ducha zdarzały mu się podczas nauki, w drodze do szkoły i z powrotem, a nawet w samej szkole.

Bardzo lubił mówić o Papieżu i wyrażał gorące pragnienie, aby przed śmiercią móc go zobaczyć, powtarzając wielokrotnie, że ma mu do powiedzenia coś bardzo ważnego.

Ponieważ często powtarzał to samo, chciałem zapytać, jaka to ważna sprawa, którą chciał powiedzieć Papieżowi.

„Gdybym mógł rozmawiać z Papieżem, chciałbym mu powiedzieć, aby pośród utrapień, które go czekają, nie przestawał ze szczególną troską zajmować się Anglią; Bóg przygotowuje w tym królestwie wielki triumf katolicyzmu”.

„Na czym opierasz te słowa?”

„Powiem księdzu, ale nie chciałbym, żeby ksiądz mówił o tym innym, bo może naraziłbym się na wyśmianie. Jeśli jednak ksiądz pojedzie do Rzymu, proszę powiedzieć o tym Piusowi IX. Oto co się stało. Pewnego pięknego ranka, gdy odprawiałem dziękczynienie po Komunii, ogarnęło mnie silne roztargnienie i wydało mi się, że widzę ogromną równinę pełną ludzi otulonych gęstą mgłą. Szli, ale jak ludzie, którzy zgubili drogę i nie widzą już, gdzie stawiają stopy. „Ten kraj — powiedział ktoś obok mnie — to Anglia”. Kiedy chciałem zapytać o więcej, zobaczyłem najwyższego Papieża Piusa IX, dokładnie takiego, jak widziałem go namalowanego na kilku obrazkach. Ubrany majestatycznie i niosący w rękach bardzo jasną pochodnię, zbliżał się ku tej ogromnej rzeszy. W miarę jak się przybliżał, mgła znikała w świetle pochodni, a ludzie pozostawali w jasności jak w południe. „Ta pochodnia — powiedział mi mój towarzysz — to religia katolicka, która ma oświecić Anglików”.”

Gdy w 1858 roku pojechałem do Rzymu, chciałem opowiedzieć o tym najwyższemu Papieżowi, który wysłuchał tego życzliwie i z upodobaniem. „To — powiedział Papież — utwierdza mnie w zamiarze energicznej pracy dla Anglii, ku której już skierowałem najgorliwszą troskę. Przynajmniej ta relacja jest dla mnie jak rada dobrej duszy”.

Pomijam wiele innych podobnych wydarzeń, zadowalając się ich zapisaniem i pozostawiając innym opublikowanie ich wtedy, gdy uzna się, że mogą przyczynić się do większej chwały Bożej.

ROZDZIAŁ XXI. Jego myśli o śmierci i przygotowanie do świętej śmierci

Kto przeczytał to, co dotąd napisaliśmy o młodym Dominiku Savio, łatwo zrozumie, że całe jego życie było nieustannym przygotowaniem do śmierci. Towarzystwo Niepokalanego Poczęcia uważał jednak za skuteczny środek zapewnienia sobie opieki Najświętszej Dziewicy w godzinie śmierci, którą wszyscy przewidywali jako niedaleką. Nie wiem, czy Bóg objawił mu dzień i okoliczności śmierci, czy miał tylko pobożne przeczucie. Pewne jest jednak, że mówił o niej na długo przed jej nadejściem i z taką jasnością, że ktoś opowiadający po jego śmierci z trudem mógłby ją opisać lepiej.

Ze względu na stan zdrowia dokładano wszelkich starań, aby ograniczać go w sprawach nauki i pobożności; mimo to częściowo z powodu naturalnej słabości, częściowo wskutek pewnych dolegliwości cielesnych, a także przez nieustanny wysiłek umysłowy, jego siły malały z dnia na dzień. Sam zdawał sobie z tego sprawę i czasem chodził, mówiąc: „Muszę biec, bo inaczej noc zastanie mnie na drodze”. Chciał przez to powiedzieć, że zostało mu niewiele czasu życia i trzeba było pilnie spełniać dobre uczynki, zanim nadejdzie śmierć.

W tym domu panuje zwyczaj, że raz w miesiącu nasi chłopcy odprawiają Ćwiczenie Dobrej Śmierci. Polega ono na przygotowaniu się do spowiedzi i Komunii tak, jakby miały być ostatnimi w życiu. Obecnie panujący Pius IX w swojej wielkiej dobroci wzbogacił to ćwiczenie różnymi odpustami. Dominik odprawiał je z takim skupieniem, że trudno wyobrazić sobie większe. Na zakończenie nabożeństwa zwykle odmawia się Ojcze nasz i Zdrowaś Maryjo *za* tego spośród obecnych, który umrze jako pierwszy. Pewnego dnia powiedział żartobliwie: „Zamiast mówić: «za tego, który pierwszy umrze», powiedzcie tak: Ojcze nasz i *Zdrowaś Maryjo* za Dominika Savio, który pierwszy spośród nas umrze”. Powtarzał to kilka razy.

Pod koniec kwietnia 1856 roku przyszedł do Dyrektora i zapytał, jak powinien święcie przeżyć miesiąc Maryi.

„Będziesz go przeżywał — odpowiedział — przez dokładne wypełnianie obowiązków, codzienne opowiadanie jakiegoś budującego przykładu ku czci Maryi i staranie się o takie postępowanie, abyś każdego dnia mógł przyjmować Komunię świętą”.

„Postaram się to wykonać dokładnie; ale o jaką łaskę mam prosić?”

„Proś Najświętszą Dziewicę, aby wyjednała ci u Boga zdrowie i łaskę, abyś został świętym”.

„Aby pomogła mi zostać świętym, pomogła mi dobrze umrzeć, a w ostatnich chwilach życia była przy mnie i zaprowadziła mnie do nieba”.

Rzeczywiście w tym miesiącu okazywał taką gorliwość, że wydawał się aniołem przyodzianym w ludzką postać. Czy pisał — mówił o Maryi; czy się uczył, śpiewał albo szedł do szkoły — wszystko było na Jej cześć. Podczas rekreacji starał się każdego dnia mieć przygotowany jakiś przykład, który opowiadał raz tej, raz innej grupie kolegów zgromadzonych wokół niego.

Pewnego dnia kolega powiedział do niego: „Jeśli w tym roku zrobisz wszystko, co możliwe, co zechcesz robić w przyszłym roku?”

„Zostaw to mnie — odpowiedział. — W tym roku chcę zrobić to, co mogę; w przyszłym roku, jeśli jeszcze tu będę, powiem ci, co zamierzam robić”.

Aby zastosować wszystkie środki mogące przywrócić mu zdrowie, zwołałem konsylium lekarzy. Wszyscy podziwiali pogodę Dominika, bystrość umysłu i rozsądek jego odpowiedzi. Doktor Francesco Vallauri, świętej pamięci, jeden z wybitnych konsultantów, pełen podziwu powiedział: „Jakaż drogocenna perła z tego chłopca!”

„Jakie jest źródło choroby, która z każdym dniem coraz bardziej podkopuje jego zdrowie?” — zapytałem.

„Jego delikatna budowa, przedwczesna inteligencja i nieustanny wysiłek umysłowy są jak pilniki, które niepostrzeżenie zużywają jego siły życiowe”.

„Jaki środek mógłby mu przynieść największą korzyść?”

„Najpożyteczniejszym środkiem byłoby pozwolić mu pójść do Raju, do którego wydaje mi się bardzo dobrze przygotowany. Jedyną rzeczą mogącą przedłużyć jego

życie byłoby całkowite odsunięcie go od nauki na pewien czas i zajęcie pracą ręczną odpowiednią do jego sił”.

ROZDZIAŁ XXII. Jego troska o chorych — Opuszcza Oratorium — Słowa wypowiedziane przy tej okazji

Osłabienie sił, na które cierpiał, nie było takie, by stale trzymać go w łóżku; dlatego czasem chodził do szkoły lub na naukę, albo zajmował się pracami domowymi. Jedną z rzeczy sprawiających mu wielką przyjemność było usługiwanie chorym kolegom, gdy tacy znajdowali się w domu.

„Nie mam żadnej zasługi przed Bogiem — mawiał — pomagając lub odwiedzając chorych, bo robię to ze zbyt wielką przyjemnością; przeciwnie, jest to dla mnie miła rekreacja”.

Świadcząc im posługi doczesne, bardzo zręcznie potrafił zawsze zasugerować coś duchowego. „To biedne ciało — *powiedział* do chorego kolegi — nie chce trwać wiecznie, prawda? Musimy pozwolić mu powoli się zużywać, aż pójdzie do grobu; lecz wtedy, drogi przyjacielu, nasza dusza, uwolniona od przeszkód ciała, chwalebnie uleci do nieba i będzie cieszyć się zdrowiem i szczęściem bez końca”.

Zdarzyło się, że kolega odmówił wypicia lekarstwa, ponieważ było gorzkie. „Drogi przyjacielu — powiedział mu Dominik — musimy przyjmować każdy przepisany lek, bo w ten sposób jesteśmy posłuszni Bogu, który ustanowił lekarzy i lekarstwa, ponieważ są potrzebne do odzyskania utraconego zdrowia; a jeśli smak budzi w nas odrazę, będziemy mieli tym większą zasługę dla duszy. Poza tym, czy sądzisz, że twoje lekarstwo jest tak gorzkie i przykre jak żółć zmieszana z octem, którą podano Jezusowi do picia na krzyżu?” Słowa te, wypowiedziane z jego cudowną prostotą, nie pozwalały nikomu dalej się sprzeciwiać.

Chociaż zdrowie Savio stało się bardzo delikatne, wyjazd do domu był dla niego rzeczą najbardziej przykrą, gdyż żałował przerwania nauki i zwyczajnych praktyk pobożnych. Kilka miesięcy wcześniej wysłałem go już do domu; pozostał tam tylko kilka dni, po czym zobaczyłem go znowu w Oratorium. Muszę powiedzieć, że żal był wzajemny; za wszelką cenę zatrzymałbym go w tym domu, bo moja miłość do niego była miłością ojca do syna najbardziej godnego miłości. Jednak rada lekarzy była jasna i chciałem jej posłuchać, tym bardziej że od kilku dni pojawił się uporczywy kaszel.

Poinformowano więc jego ojca, a wyjazd ustalono na 1 marca 1857 roku.

Dominik przyjął tę decyzję, lecz tylko po to, by złożyć ją Bogu w ofierze. „Dlaczego — zapytano go — tak niechętnie jedziesz do domu, skoro powinieneś jechać z radością, aby cieszyć się towarzystwem ukochanych rodziców?” „Ponieważ — odpowiedział — chciałbym zakończyć moje dni w Oratorium”.

„Pojedziesz do domu, a kiedy zdrowie trochę się poprawi, wrócisz”.

„Och! Nie, nie. Odchodzę i już nigdy nie wrócę”.

Wieczorem przed wyjazdem nie chciał odejść od mojego boku; wciąż miał o coś pytać. Między innymi powiedział: „Co najlepszego może zrobić chory, aby zdobyć zasługę przed Bogiem?”

„Często ofiarować Bogu wszystko, co cierpi”.

„Co jeszcze może zrobić?”

„Ofiarować Panu swoje życie”.

„Czy mogę być pewien, że moje grzechy zostały odpuszczone?”

„Zapewniam cię w imię Boga, że twoje grzechy zostały odpuszczone”.

„Czy mogę być pewien, że się zbawię?”

„Tak; dzięki miłosierdziu Bożemu, które cię nie opuści, możesz być pewien zbawienia”.

„Gdyby diabeł przyszedł mnie kusić, co powinienem mu odpowiedzieć?”

„Odpowiesz, że sprzedałeś swoją duszę Jezusowi Chrystusowi i że On odkupił ją ceną swojej Krwi. Jeśli diabeł uczyni ci jeszcze jakiś zarzut, zapytaj go, co on zrobił dla twojej duszy. Jezus Chrystus natomiast przelał całą swoją Krew, aby uwolnić ją od piekła i zaprowadzić ze sobą do Raju”.

„Czy z Raju będę mógł widzieć moich kolegów z Oratorium i moich rodziców?”

„Tak. Z Raju zobaczysz wszystko, co dzieje się w Oratorium; zobaczysz swoich rodziców i sprawy ich dotyczące, a także tysiąc innych, jeszcze piękniejszych rzeczy”.

„Czy będę mógł przychodzić ich odwiedzać?”

„Będziesz mógł przychodzić, jeśli będzie to służyło większej chwale Bożej”.

Zadawał dalej te i bardzo wiele innych pytań i wyglądał jak ktoś, kto ma już jedną nogę u bram Raju, a przed wejściem chce dobrze poznać rzeczy znajdujące się wewnątrz.

ROZDZIAŁ XXIII. Żegna się z kolegami

Rankiem w dniu wyjazdu odprawił z kolegami Ćwiczenie Dobrej Śmierci z taką gorliwością w spowiedzi i Komunii, że ja, który byłem tego świadkiem, nie potrafię tego wyrazić. „Muszę dobrze odprawić to ćwiczenie — powiedział — bo mam nadzieję, że naprawdę będzie dla mnie ćwiczeniem dobrej śmierci. Gdyby zdarzyło mi się umrzeć w drodze, będę już po Komunii”. Resztę poranka spędził całkowicie na porządkowaniu swoich rzeczy. Ułożył kufer, umieszczając każdy przedmiot tak, jakby już nigdy nie miał go dotknąć. Następnie chodził i odwiedzał kolegów jednego po drugim: jednemu dawał radę, drugiego upominał, aby poprawił wadę, innego zachęcał do wytrwania w dobrym. Zawołał chłopca, któremu był winien dwa soldy, i powiedział: „Chodź tutaj, rozliczmy się, bo inaczej mogłoby mi to sprawić kłopot, gdy będę rozliczał się z Panem”. Rozmawiał z członkami Towarzystwa

Niepokalanego Poczęcia i w najbardziej gorących słowach zachęcał ich do stałości w zachowywaniu obietnic złożonych Najświętszej Dziewicy i do pokładania w Niej największego zaufania. W chwili wyjazdu zawołał mnie i powiedział dokładnie te słowa: „A więc ksiądz nie chce tego mojego biednego trupa — tego szkieletu — i jestem zmuszony zawieźć go do Mondonio. Kłopot trwałby tylko kilka dni… potem wszystko by się skończyło; jednak niech się dzieje wola Boża. Jeśli ksiądz pojedzie do Rzymu, proszę pamiętać o wiadomości dla Papieża dotyczącej Anglii; proszę modlić się, abym dobrze umarł, a zobaczymy się ponownie w Raju”. Doszliśmy już do drzwi prowadzących z Oratorium, a on wciąż mocno trzymał mnie za rękę, gdy zwrócił się do otaczających go kolegów i powiedział: „Żegnajcie, drodzy koledzy, żegnajcie wszyscy; módlcie się za mnie, a spotkamy się tam, gdzie zawsze będziemy z Panem”. Był już przy bramie dziedzińca, kiedy zobaczyłem, jak wraca i mówi do mnie:

„Niech ksiądz da mi jakiś podarunek, który zachowam na pamiątkę”.

„Powiedz, jaki podarunek chciałbyś dostać, a dam ci go od razu. Chcesz książkę?”

„Nie; coś lepszego”.

„Chcesz pieniądze na drogę?”

„Tak, właśnie: pieniądze na drogę do wieczności. Ksiądz mówił, że uzyskał od Papieża pewne odpusty zupełne na chwilę śmierci; proszę także mnie zaliczyć do tych, którzy mogą z nich skorzystać”.

„Tak, mój synu, ty również możesz być jeszcze zaliczony do tej liczby; zaraz pójdę wpisać twoje imię na ten dokument”.

Po tych słowach opuścił Oratorium, w którym przez około trzy lata przeżył tyle szczęścia dla siebie i dał tyle zbudowania kolegom, a nawet przełożonym; opuścił je, aby już nigdy nie wrócić.

Wszyscy byliśmy zdumieni tymi niezwykłymi pożegnaniami. Wiedzieliśmy, że cierpiał na wiele dolegliwości, ale ponieważ prawie zawsze pozostawał poza łóżkiem, nie przywiązywaliśmy do jego choroby wielkiej wagi. Ponadto, ponieważ stale miał pogodny wyraz twarzy, nikt nie mógł z niej odczytać, że cierpi na ciele lub duchu. Chociaż te niezwykłe pożegnania zasmuciły nas, wciąż mieliśmy nadzieję, że wkrótce zobaczymy go znowu wśród nas. Tak jednak nie miało być. Był dojrzały do

nieba; w krótkim biegu życia zdobył już nagrodę sprawiedliwych, jakby dożył bardzo podeszłego wieku, a Pan zechciał wezwać go do siebie w kwiecie młodości, aby uwolnić go od niebezpieczeństw, w których tak często rozbijają się nawet najlepsze dusze.

ROZDZIAŁ XXIV. Przebieg choroby — Ostatnia spowiedź — Przyjmuje Wiatyk — Budujące wydarzenia

Nasz Dominik opuścił Turyn 1 marca o drugiej po południu w towarzystwie ojca, a podróż odbyła się pomyślnie; co więcej, wydawało się, że przejazd powozem, zmiana miejsc i towarzystwo krewnych dobrze mu zrobiły. Dlatego po przybyciu do domu przez cztery dni nie kładł się do łóżka. Gdy jednak zauważono, że jego siły i apetyt maleją, a kaszel staje się coraz silniejszy, uznano za stosowne wezwać lekarza. Ten stwierdził, że choroba jest o wiele poważniejsza, niż się wydawało. Nakazał Dominikowi natychmiast pozostać w domu i położyć się do łóżka, a sądząc, że jest to choroba zapalna, zalecił puszczanie krwi.

Młodzież z natury odczuwa wielki lęk przed puszczaniem krwi. Gdy więc chirurg miał rozpocząć zabieg, zachęcił Dominika, aby odwrócił twarz, był cierpliwy i nabrał odwagi. Dominik zaśmiał się i powiedział: „Czym jest małe ukłucie wobec gwoździ wbitych w ręce i nogi naszego najniewinniejszego Zbawiciela?” Następnie z całkowitym spokojem ducha, żartując i nie okazując najmniejszego niepokoju, przez cały zabieg patrzył, jak krew wypływa z jego żył. Po kilku puszczeniach krwi choroba zdawała się ustępować; tak zapewniał lekarz i tak sądzili krewni, lecz Dominik myślał inaczej. Kierowany przekonaniem, że lepiej przyjąć Sakramenty we właściwym czasie niż ryzykować utratę sposobności, zawołał ojca. „Tato — powiedział — dobrze byłoby poradzić się lekarza niebieskiego. Chciałbym się wyspowiadać i przyjąć Komunię świętą”.

Rodzice, którzy także sądzili, że choroba ustępuje, usłyszeli tę propozycję ze smutkiem i jedynie aby sprawić mu przyjemność, wezwali proboszcza do spowiedzi. Przybył natychmiast, wysłuchał spowiedzi, a potem — znowu dla spełnienia pragnienia Dominika — przyniósł mu święty Wiatyk. Łatwo sobie wyobrazić, z jakim nabożeństwem i skupieniem przyjął Komunię. Ilekroć przystępował do świętych Sakramentów, zawsze wydawał się drugim św. Alojzym. Teraz, gdy wierzył, że jest to naprawdę ostatnia Komunia w jego życiu, któż zdoła wyrazić gorliwość i wylewy czułej miłości, które z tego niewinnego serca wznosiły się ku umiłowanemu Jezusowi?

Przypomniał sobie wtedy obietnice złożone przy Pierwszej Komunii. Kilka razy powiedział: „Tak, tak, o Jezu, o Maryjo, teraz i zawsze będziecie przyjaciółmi mojej duszy. Powtarzam to i mówię tysiąc razy: raczej śmierć niż grzech”. Po zakończeniu dziękczynienia powiedział zupełnie spokojnie: „Teraz jestem zadowolony. To prawda, że muszę odbyć długą podróż do wieczności, ale mając Jezusa za towarzysza, nie mam się czego bać. Och! Zawsze to mówcie, mówcie wszystkim: kto ma Jezusa za przyjaciela i towarzysza, nie boi się już żadnego zła, nawet śmierci”.

Jego cierpliwość była przykładna we wszystkich dolegliwościach, które znosił w ciągu życia; lecz w tej ostatniej chorobie jawił się jako prawdziwy wzór świętości.

Nie chciał, aby ktokolwiek pomagał mu w zwykłych potrzebach. „Dopóki mogę — mówił — chcę oszczędzać trudu moim drogim rodzicom. Już tyle niedogodności i prac znieśli dla mnie; gdybym tylko mógł im się w jakiś sposób odwdzięczyć!” Przyjmował nawet najbardziej przykre lekarstwa bez skargi i poddał się dziesięciu puszczeniom krwi, nie okazując najmniejszego niezadowolenia.

Po czterech dniach choroby lekarz pogratulował choremu i powiedział krewnym: „Podziękujmy Opatrzności Bożej; jesteśmy w dobrym położeniu, choroba została pokonana; teraz potrzeba tylko roztropnej rekonwalescencji”. Dobrzy rodzice uradowali się tymi słowami. Dominik jednak zaczął się śmiać i dodał: „Świat został pokonany; teraz potrzebuję tylko dobrze stawić się przed Bogiem”. Gdy lekarz odszedł, nie pozwalając się uspokoić jego słowami, poprosił o Sakrament Ostatniego Namaszczenia. Także tutaj rodzice zgodzili się, aby sprawić mu przyjemność, ponieważ ani oni, ani proboszcz nie widzieli bezpośredniego niebezpieczeństwa śmierci; przeciwnie, pogoda jego twarzy i radość słów naprawdę sprawiały wrażenie poprawy. Lecz czy kierowały nim uczucia pobożności, czy natchnienie Bożego głosu mówiącego w sercu, faktem jest, że obliczał dni i godziny swego życia jak rachunek

arytmetyczny i każdą chwilę wykorzystywał na przygotowanie się do stawienia przed Bogiem. Przed przyjęciem Ostatniego Namaszczenia odmówił następującą modlitwę: „O Panie, przebacz mi moje grzechy. Kocham Cię i chcę Cię kochać na wieki! Niech ten Sakrament, który w swoim nieskończonym miłosierdziu pozwalasz mi przyjąć, zetrze z mojej duszy wszystkie grzechy popełnione słuchem, wzrokiem, mową, rękami i nogami; niech moje ciało i moja dusza zostaną uświęcone przez zasługi Twojej Męki. Amen”.

Na każdy punkt odpowiadał z taką jasnością głosu i poprawnością myśli, że można było sądzić, iż cieszy się doskonałym zdrowiem.

Był 9 marca, czwarty dzień choroby i ostatni dzień jego życia. Przeszedł już dziesięć puszczeń krwi wraz z innymi zabiegami, a jego siły były całkowicie wyczerpane; udzielono mu więc błogosławieństwa papieskiego. Sam odmówił *Confiteor* i odpowiadał na słowa kapłana. Gdy usłyszał, że przez ten akt religijny Papież udziela mu Błogosławieństwa Apostolskiego z odpustem zupełnym, doznał największej pociechy. „Deo gratias — *powtarzał* — et semper Deo *gratias”. Następnie* zwrócił się ku krucyfiksowi i odmówił następujące wersety, które były mu bardzo dobrze znane za życia:

Panie, Tobie oddaję całą moją wolność;

oto moje władze, także moje ciało;

wszystko Ci oddaję, bo wszystko jest Twoje, o Boże,

i całkowicie powierzam się Twojej woli.

ROZDZIAŁ XXV. Jego ostatnie chwile i

cenna śmierć

Prawdą wiary jest, że w godzinie śmierci człowiek zbiera owoc swoich uczynków: *Quae seminaverit homo, haec* et metet. Jeśli w życiu zasiał dobre uczynki, w owych ostatnich chwilach zbierze owoce pociechy; jeśli zasiał złe uczynki, wtedy zbierze opuszczenie po opuszczeniu. Zdarza się jednak czasem, że dobre dusze, po świętym życiu, doświadczają lęku i trwogi, gdy zbliża się godzina śmierci. Dzieje się tak według godnych uwielbienia wyroków Boga, który pragnie oczyścić te dusze z drobnych plam, jakie być może zaciągnęły w życiu, i w ten sposób zapewnić im oraz upiększyć koronę chwały w niebie. Z naszym Savio było inaczej. Sądzę, że Bóg zechciał dać mu owo stokroć, które jako przedsmak chwały Raju udziela duszom sprawiedliwych. Niewinność zachowana do ostatniej chwili życia, żywa wiara, nieustanne modlitwy, długie pokuty i życie całe zasiane utrapieniami z pewnością wysłużyły mu tę pociechę w godzinie śmierci.

Widział więc zbliżającą się śmierć ze spokojem niewinnej duszy; co więcej, wydawało się, że nawet ciało nie doświadczało udręki i ucisku, które zwykle towarzyszą wysiłkowi duszy zrywającej więzy ciała. Krótko mówiąc, śmierć Savio można nazwać raczej odpoczynkiem niż śmiercią.

Był wieczór 9 marca 1857 roku. Otrzymał wszystkie pociechy naszej świętej religii katolickiej. Kto tylko słyszał go mówiącego i obserwował pogodę jego twarzy, mógł sądzić, że leży w łóżku dla odpoczynku. Jego radosny wyraz twarzy, wciąż żywe oczy i pełna świadomość zadziwiały wszystkich; nikt oprócz niego samego nie potrafił uwierzyć, że znajduje się u kresu życia.

Na półtorej godziny przed ostatnim tchnieniem przyszedł go odwiedzić proboszcz i widząc jego spokój, ze zdumieniem słuchał, jak Dominik poleca swoją duszę Bogu. Często i długo wzbudzał akty strzeliste, które wszystkie wyrażały gorące pragnienie szybkiego pójścia do nieba. „Co można jeszcze podsunąć, aby polecić Bogu duszę umierającego w taki sposób?” — powiedział proboszcz. Po odmówieniu z nim kilku modlitw kapłan miał już odejść, gdy Savio zawołał go i powiedział: „Proszę księdza, zanim ksiądz odejdzie, niech mi zostawi jakąś myśl do zapamiętania”. „Ze swojej strony — odpowiedział — nie wiedziałbym, jaką myśl ci zostawić”. „Jakąś myśl, która by mnie pocieszyła”. „Nie potrafię powiedzieć ci nic więcej poza tym, abyś pamiętał o Męce Pańskiej”. „Deo gratias — odpowiedział. — *Niech Męka* Pana naszego Jezusa

Chrystusa będzie zawsze w mojej myśli, na moich ustach i w moim sercu. Jezu, Józefie i Maryjo, bądźcie przy mnie w tej ostatniej agonii; Jezu, Józefie i Maryjo, niech moja dusza w pokoju z Wami wyda ostatnie tchnienie". Po tych słowach zasnął i odpoczywał przez pół godziny. Następnie, przebudziwszy się, zwrócił oczy ku rodzinie. „Tato — powiedział — oto jesteśmy".

„Jestem tutaj, mój synu. Czego potrzebujesz?"

„Drogi tato, już czas. Weź mój *Giovane provveduto*[13] i przeczytaj mi modlitwy o dobrą śmierć".

Na te słowa matka wybuchnęła płaczem i wyszła z pokoju chorego. Serce ojca pękało z bólu, a łzy dławiły mu głos; mimo to zdobył się na odwagę i zaczął czytać modlitwę. Dominik powtarzał każde słowo uważnie i wyraźnie; na końcu każdej części chciał jednak sam mówić: „Jezu miłosierny, zmiłuj się nade mną". Gdy doszli do słów: „Kiedy wreszcie moja dusza stanie przed Tobą i po raz pierwszy ujrzy nieśmiertelny blask Twojego majestatu, nie odrzucaj jej od swojego oblicza, lecz racz przyjąć mnie w miłosne łono swego miłosierdzia, abym mógł na wieki śpiewać Twoją chwałę", dodał: „Tak, właśnie tego pragnę. Och, drogi tato, śpiewać na wieki chwałę Pana!" Potem zdawał się znowu pogrążać w lekkim śnie, jak ktoś rozważający poważnie rzecz najwyższej wagi. Niedługo potem obudził się i jasnym, uśmiechniętym głosem powiedział: „Żegnaj, drogi tato, żegnaj. Proboszcz chciał mi powiedzieć jeszcze coś innego, a już nie mogę sobie przypomnieć... Och! Jaką piękną rzecz widzę..." Mówiąc to, z uśmiechem i wyrazem Raju na twarzy wydał ostatnie tchnienie, mając ręce złożone na piersi na kształt krzyża, bez najmniejszego poruszenia.

Idź więc, wierna duszo, do swego Stwórcy. Niebo stoi przed tobą otwarte; aniołowie i święci przygotowali ci wielką ucztę. Ten Jezus, którego tak bardzo kochałeś, zaprasza cię i woła, mówiąc: „Przyjdź, dobry i wierny sługo; przyjdź, walczyłeś, odniosłeś zwycięstwo; teraz przyjdź posiąść radość, która nigdy się nie skończy: *Intra in gaudium Domini tui".*

ROZDZIAŁ XXVI. Wiadomość o jego śmierci — Słowa profesora ks. Picco do uczniów

Gdy ojciec Dominika zobaczył, jak wypowiada przytoczone słowa, a potem pochyla głowę jak do odpoczynku, naprawdę sądził, że znów zasnął. Pozostawił go w tej pozycji przez kilka chwil, lecz potem chciał go zawołać i zauważył, że już nie żyje. Pozostawiam każdemu wyobrażenie sobie rozpaczy rodziców po stracie syna, który łączył niewinność i pobożność z najbardziej ujmującymi i godnymi miłości manierami.

Także my tutaj, w domu Oratorium, z niepokojem oczekiwaliśmy wiadomości o tym czcigodnym przyjacielu i koledze, gdy otrzymałem list od jego ojca, który zaczynał się słowami: „Ze łzami w oczach donoszę księdzu najsmutniejszą wiadomość: mój drogi syn Dominik, księdza uczeń, jak nieskalana lilia, jak Alojzy Gonzaga, oddał duszę Panu wczoraj wieczorem, dziewiątego dnia tego miesiąca marca, po przyjęciu świętych Sakramentów i błogosławieństwa papieskiego w najbardziej pocieszający sposób”.

Wiadomość ta wprawiła jego kolegów w osłupienie. Jedni opłakiwali w nim utratę przyjaciela i wiernego doradcy; inni ubolewali, że stracili wzór prawdziwej pobożności. Niektórzy zebrali się, aby modlić się za spokój jego duszy. Większość jednak chodziła, mówiąc:

„On był świętym; teraz jest już w Raju”. Inni zaczęli polecać się jego wstawiennictwu jak opiekuna przed Bogiem. Potem wszyscy współzawodniczyli, aby zdobyć jakiś przedmiot, który należał do niego.

Gdy wiadomość dotarła do profesora ks. Picco, głęboko się zasmucił. Kiedy uczniowie już się zgromadzili, przekazał im bolesną wiadomość z wielkim wzruszeniem tymi słowami: „Niedawno, moi drodzy chłopcy, gdy przypadkiem mówiłem wam o kruchości ludzkiego życia, zwróciłem uwagę, że śmierć czasem nie oszczędza nawet waszego kwitnącego wieku. Jako przykład opowiedziałem wam, jak dwa lata temu o tej samej porze pewien młodzieniec pełen życia i siły uczęszczał do

tej szkoły i siedział tutaj przede mną, słuchając; po zaledwie kilku dniach nieobecności przeszedł z tego życia, opłakiwany przez krewnych i przyjaciół. Kiedy przypominałem wam tamten bolesny przypadek, daleki byłem od myśli, że obecny rok zostanie zasmucony podobnym cierpieniem i że przykład tak szybko powtórzy się w jednym z tych właśnie chłopców, którzy mnie słuchali. Tak, moi drodzy chłopcy, muszę was zasmucić bolesną wiadomością. Kosa śmierci przedwczoraj ścięła życie jednego z waszych najbardziej cnotliwych kolegów, dobrego młodego Dominika Savio. Pamiętacie zapewne, jak w ostatnich dniach, kiedy uczęszczał do szkoły, dręczył go silny kaszel; nikogo więc nie zdziwiło, gdy usłyszeliśmy, że z tego powodu musiał przestać chodzić do szkoły. Aby lepiej leczyć chorobę i już przewidując — jak wielokrotnie mówił niektórym — zbliżający się koniec, posłuchał rady lekarzy i przełożonych i wrócił do rodziny. Tam gwałtowność choroby znacznie się rozwinęła i po zaledwie czterech dniach cierpienia oddał niewinnego ducha Stwórcy.[14]

„Wczoraj przeczytałem list, w którym jego pogrążony w bólu ojciec przekazał bolesną wiadomość; w swojej prostocie list ten nakreślił taki obraz świętej śmierci tego anioła, że poruszył mnie do łez. Nie znajduje on słów bardziej odpowiednich do pochwały ukochanego syna niż nazwanie go drugim św. Alojzym Gonzagą, zarówno pod względem świętości życia, jak i błogosławionego poddania się w śmierci. Zapewniam was, że bardzo żałuję, iż tak krótko uczęszczał do mojej szkoły i że w tym niedługim czasie słabe zdrowie nie pozwoliło mi poznać go i obcować z nim bardziej, niż jest to możliwe w dość licznej szkole. Dlatego pozostawiam jego przełożonym opowiedzenie wam, jaka była świętość jego uczuć i jaką gorliwość okazywał w pobożności; pozostawiam jego kolegom i przyjaciołom, którzy codziennie z nim przebywali i żyli z nim w zażyłości, opowiedzenie wam o skromności jego postępowania, całej jego postawy i powadze rozmów; pozostawiam krewnym opowiedzenie wam o jego posłuszeństwie, szacunku i uległości. A cóż ja mogę wam przypomnieć, czego wszyscy już nie wiecie? Powiem tylko, że zawsze zasługiwał na pochwałę za zachowanie i spokój w szkole, za pilność i dokładność w wypełnianiu każdego obowiązku oraz za stałą uwagę wobec mojego nauczania; i uważałbym się za szczęśliwego, gdyby każdy z was postanowił naśladować jego święty przykład.

„Jeszcze zanim wiek i nauka pozwoliły mu uczęszczać do naszej szkoły, ponieważ od trzech lat należał do chłopców otrzymujących mieszkanie i naukę w Oratorium św. Franciszka Salezego, nieraz słyszałem, jak Dyrektor tego Oratorium mówił o nim i chwalił go jako jednego z najbardziej pilnych i cnotliwych chłopców tego domu. Tak

wielki był jego zapał do nauki i tak szybkie postępy uczynił w pierwszych klasach łacińskich, że bardzo pragnąłem zaliczyć go do moich uczniów i wiązałem wielkie nadzieje z jego zdolnościami. Jeszcze zanim miałem go w klasie, wspominałem o nim niektórym moim uczniom jako o rywalu, z którym pięknie byłoby współzawodniczyć nie mniej w nauce niż w cnocie. Podczas częstych odwiedzin w Oratorium, gdy widziałem u niego ową łagodną twarz, którą znacie, i owo niewinne spojrzenie, nigdy nie patrzyłem na niego, nie czując się pociągniętym do miłości i podziwu. Z pewnością nie zawiódł pięknych nadziei, jakie w nim pokładałem, gdy w obecnym roku szkolnym zaczął uczęszczać na moje lekcje. Odwołuję się do was, najdrożsi chłopcy, którzy byliście świadkami jego skupienia i pilności nie tylko w czasie, gdy obowiązek nakazywał mu słuchać mnie, lecz także w tych chwilach, które wielu młodych ludzi — choć nie brak im uległości i pracowitości — zwykle bez skrupułów marnuje. Pytam was, którzy byliście jego kolegami nie tylko w szkole, lecz także w zwyczajnym życiu domu, czy kiedykolwiek widzieliście, aby uczynił coś, co wskazywałoby, że zapomniał o którymś ze swoich obowiązków.

„Wydaje mi się, że wciąż go widzę, jak z ową skromnością całkowicie dla niego właściwą wchodził do klasy, zajmował swoje miejsce i przez cały czas przed rozpoczęciem lekcji — daleki od próżnych rozmów zwyczajnych u chłopców w jego wieku — powtarzał lekcję, robił notatki albo zajmował się jakąś pożyteczną lekturą. A kiedy zaczynała się lekcja, z jaką uwagą widziałem tę anielską twarz zwróconą ku moim słowom! Nic więc dziwnego, że mimo młodego wieku i słabego zdrowia pożytek, jaki dzięki inteligencji odnosił z nauki, był bardzo wielki. Dowodem jest to, że wśród znacznej liczby chłopców, z których większość miała zdolności ponadprzeciętne, chociaż choroba, która ostatecznie zaprowadziła go do grobu, już w nim wzrastała i dlatego zmuszała go do częstych nieobecności, niemal zawsze zajmował jedno z pierwszych miejsc w klasie. Jedna rzecz przyciągała jednak moją uwagę w sposób zupełnie szczególny i budziła mój podziw: widzieć, jak jego młodzieńczy umysł pozostawał zjednoczony z Bogiem, a na modlitwie pełen miłości i gorliwości. Nawet u chłopców mniej roztargnionych często się zdarza, że porwani naturalną żywością i rozproszeniami właściwymi waszemu gorącemu wiekowi bardzo mało zastanawiają się nad znaczeniem modlitw, do których odmawiania są zapraszani, i towarzyszy im ledwie jakieś uczucie serca. Stąd bywa, że u wielu pozostają tylko usta i głos. Jeśli więc roztargnienie jest tak zwyczajne u młodych nawet podczas modlitw kierowanych do Pana w ciszy i spokoju kościołów albo w samotności własnych pokoi przy codziennych modlitwach, sami wiecie, chłopcy, o ile łatwiej zdarza się to podczas tych bardzo krótkich modlitw, które zwykle odmawia się przed lekcjami i po nich. A właśnie w tych chwilach mogłem podziwiać

gorliwość naszego Dominika w pobożności i zjednoczenie jego duszy z Bogiem. Ileż razy obserwowałem, jak ze wzrokiem zwróconym ku niebu — temu niebu, które tak szybko miało stać się jego mieszkaniem — skupiał wszystkie uczucia i tym aktem ofiarował je Panu i Jego Najświętszej Matce z pełnią miłości odpowiadającą odmawianym modlitwom! I te uczucia, moi ukochani chłopcy, były właśnie tymi, które ożywiały jego myśli przy spełnianiu każdego obowiązku; to one uświęcały każdy czyn i każde słowo i kierowały całe jego życie wyłącznie ku chwale Bożej. Błogosławieni młodzi, których ożywiają takie myśli! Znajdą szczęście w tym życiu i w przyszłym, a uczynią szczęśliwymi rodziców, którzy ich wychowują, nauczycieli, którzy ich uczą, i wszystkich, którzy troszczą się o ich dobro.

„Najdrożsi chłopcy, życie jest najcenniejszym darem, którego Bóg nam udzielił, aby dać nam środki do zdobycia zasług na niebo; i takim będzie, jeśli wszystko, co czynimy, będzie mogło być ofiarowane temu Najwyższemu Dawcy, jak czynił nasz Dominik. Ale cóż powiemy o młodym człowieku, który całe życie spędza całkowicie zapominając o celu, do którego Bóg go przeznaczył, który nigdy nie znajduje chwili, by poświęcić swe uczucia Stwórcy, który nigdy nie daje w sercu miejsca żadnemu westchnieniu wznoszącemu go ku Bogu? Co więcej, cóż powiemy o młodym, który czyni wszystko, co w jego mocy, aby takie uczucia trzymać z dala od siebie albo zwalczać je i tłumić, jeśli czuje, że zbliżają się do jego serca? Ach! Zastanówcie się trochę nad świętym życiem i świętym końcem waszego najdroższego kolegi, nad godnym zazdrości losem, którym — ufamy — teraz się cieszy; a potem, zwracając myśli ku sobie, zbadajcie, czego wam jeszcze brakuje, aby być do niego podobnymi, i kim chcielibyście być, gdybyście jak on znaleźli się w chwili stawienia przed owym trybunałem, gdzie Bóg zażąda od każdego ścisłego rachunku nawet z najmniejszej winy. Jeśli więc w tym porównaniu dostrzeżecie wielką różnicę, stawiajcie go sobie za wzór; naśladujcie jego chrześcijańskie cnoty; przygotujcie wasze dusze, aby były jak jego, czyste i nieskalane w oczach Boga, tak aby na niespodziewane wezwanie, które wcześniej czy później wszyscy nieuchronnie usłyszymy, odpowiedzieć z pogodą na twarzy i uśmiechem na ustach, jak uczynił wasz anielski kolega szkolny. Posłuchajcie także jednego mojego życzenia, którym kończę te słowa. Jeśli zauważę, że moi uczniowie uczynią w swoim postępowaniu miejsce dla wyraźnej poprawy, jeśli odtąd zobaczę ich dokładniejszych w obowiązkach i głębiej przekonanych o wadze prawdziwej pobożności, uznam to za skutek świętego przykładu naszego Dominika i będę patrzył na to jako na łaskę otrzymaną z nieba przez jego modlitwy, w nagrodę za to, że przez krótki czas wy byliście jego kolegami, a ja jego nauczycielem”.

Tak profesor ks. Picco wyraził swoim uczniom głębokie i bolesne wrażenie, jakiego doznał na wiadomość o śmierci drogiego ucznia Dominika Savio.

ROZDZIAŁ XXVII. Naśladowanie cnót Savio — Wielu poleca mu się, aby otrzymać łaski z nieba, i zostają wysłuchani — Wspomnienie dla wszystkich

Kto przeczytał to, co napisaliśmy o młodym Dominiku Savio, nie zdziwi się, że Bóg zechciał obdarzyć go szczególnymi darami i na różne sposoby rozjaśnić jego cnoty. Jeszcze za życia wielu troszczyło się o naśladowanie jego rad, przykładów i cnót; wielu też, poruszonych jego wybitnym postępowaniem, świętością życia i niewinnością obyczajów, polecało się jego modlitwom. Opowiada się także o niemałej liczbie łask otrzymanych dzięki modlitwom, które młody Savio jeszcze w życiu doczesnym zanosił do Boga. Po jego śmierci zaufanie do niego i cześć wobec niego znacznie wzrosły.

Gdy tylko dotarła do nas wiadomość o jego śmierci, kilku kolegów zaczęło nazywać go świętym. Zebrali się, aby odmówić Litanię za zmarłego; lecz zamiast odpowiadać ora pro *eo — czyli „Święta Maryjo, módl się za spokój jego duszy”* — niemało odpowiadało ora *pro nobis: „Święta Maryjo, módl się za* nami”. „Ponieważ — mówili — Savio już teraz cieszy się chwałą Raju i nie potrzebuje naszych modlitw”.

Inni dodawali: „Jeśli Dominik Savio, który prowadził tak czyste i święte życie, nie poszedł prosto do Raju, kto mógłby powiedzieć, że sam tam pójdzie?” Od tego czasu różni przyjaciele i koledzy, którzy za życia podziwiali jego cnoty, starali się brać go za wzór w czynieniu dobra i zaczęli polecać się mu jak niebieskiemu opiekunowi.

Prawie każdego dnia donoszono o łaskach dotyczących raz ciała, raz duszy. Widziałem chłopca cierpiącego na tak silny ból zęba, że niemal doprowadzał go do szaleństwa. Gdy krótką modlitwą polecił się swemu koledze Savio, ból natychmiast ustał i do dziś nie powróciła ta dokuczliwa dolegliwość. Wielu polecało się mu, aby zostali uwolnieni od gorączki, i zostali wysłuchani. Sam byłem świadkiem osoby, która natychmiast otrzymała łaskę uwolnienia od gwałtownej gorączki.[15] Mam przed sobą wiele relacji osób opisujących łaski niebieskie otrzymane od Boga za wstawiennictwem Savio. Chociaż charakter i powaga osób świadczących o tych wydarzeniach są pod każdym względem godne wiary, ponieważ osoby te jeszcze żyją, uważam za lepsze na razie je pominąć i ograniczyć się tutaj do opowiedzenia jednej szczególnej łaski otrzymanej przez studenta filozofii, który był szkolnym kolegą Dominika.

W 1858 roku młody ten człowiek cierpiał na poważne zaburzenia zdrowia. Stan pogorszył się tak bardzo, że musiał przerwać kurs filozofii, poddać się wielu kuracjom i pod koniec roku nie mógł przystąpić do egzaminu. Bardzo zależało mu, aby przynajmniej przygotować się do egzaminu na Wszystkich *Świętych,* gdyż w ten sposób uniknąłby utraty roku nauki. Lecz im bardziej rosły dolegliwości, tym bardziej malała nadzieja. Jesienią przez pewien czas przebywał u krewnych w domu, a przez pewien u przyjaciół na wsi, i wydawało mu się, że zdrowie trochę się poprawiło. Gdy jednak wrócił do Turynu i przez krótki czas zaczął się uczyć, nastąpił nawrót jeszcze gorszy niż wcześniej. „Zbliżały się egzaminy — zaświadcza — a moje zdrowie było w opłakanym stanie. Dolegliwości żołądka i głowy odbierały wszelką nadzieję na przystąpienie do upragnionego egzaminu, który miał dla mnie ogromne znaczenie. Zachęcony tym, co słyszałem o moim ukochanym koledze Dominiku, i ja zapragnąłem polecić się mu, odprawiając nowennę do Boga ku czci tego mojego szkolnego towarzysza. Wśród modlitw, które postanowiłem odmawiać, była taka: Drogi kolego, który ku mojej wielkiej pociesze i szczęściu byłeś moim towarzyszem szkolnym przez ponad rok, który w świętym współzawodnictwie rywalizowałeś ze mną o pierwsze miejsce w klasie, wiesz, jak bardzo potrzebuję przystąpić do egzaminu. Wyjednaj mi więc, proszę, u Pana trochę zdrowia, abym mógł się przygotować.

„Nie minął jeszcze piąty dzień nowenny, gdy moje zdrowie zaczęło poprawiać się tak wyraźnie i szybko, że wkrótce mogłem rozpocząć naukę i z niezwykłą łatwością przyswoić przepisany materiał oraz bardzo dobrze zdać egzamin. Łaska nie była chwilowa, ponieważ obecnie znajduję się w normalnym stanie zdrowia, jakiego nie miałem od ponad roku. Uznaję to za łaskę otrzymaną od Boga przez wstawiennictwo

tego mojego kolegi, bliskiego przyjaciela za życia, a teraz mojej pomocy i pociechy, gdy cieszy się chwałą nieba. Od otrzymania tej łaski minęło ponad dwa miesiące, a zdrowie trwa nadal bez zmiany, ku mojej wielkiej pociesze i pożytkowi”.

Tym wydarzeniem kończę życie młodego Savio, zachowując dla siebie możliwość wydrukowania dalej, w formie dodatku, kilku innych wydarzeń w taki sposób, jaki wyda się najbardziej przyczyniać do większej chwały Bożej i dobra dusz. Teraz, drogi czytelniku, skoro zechciałeś przeczytać to, co napisano o tym cnotliwym młodzieńcu, chciałbym, abyś wraz ze mną doszedł do wniosku, który może przynieść prawdziwy pożytek mnie, tobie i wszystkim, którzy będą czytać tę książeczkę. Chodzi mi o to, abyśmy z mocnym postanowieniem starali się naśladować młodego Savio w tych cnotach, które są zgodne z naszym stanem życia. W swoich ubogich warunkach prowadził życie niezwykle radosne, cnotliwe i niewinne, uwieńczone świętą śmiercią. Naśladujmy go w sposobie życia, a otrzymamy podwójną rękojmię podobieństwa do niego także w jego cennej śmierci.

Nie zaniedbujmy jednak naśladowania Savio w częstym przystępowaniu do Sakramentu Spowiedzi, który był jego podporą w stałym praktykowaniu cnoty i pewnym przewodnikiem prowadzącym go do tak chwalebnego końca życia. Przystępujmy często i z należnym usposobieniem do tej zbawczej kąpieli w ciągu życia; a ilekroć do niej przystępujemy, nie zaniedbujmy poświęcić trochę myśli naszym wcześniejszym spowiedziom, aby upewnić się, że były dobrze odbyte, a jeśli zauważymy potrzebę, naprawmy ewentualne braki. Wydaje mi się, że jest to najpewniejszy środek do przeżywania szczęśliwych dni pośród utrapień życia, u kresu których także my spokojnie zobaczymy zbliżającą się chwilę śmierci. Wtedy z pogodą na twarzy i pokojem w sercu wyjdziemy na spotkanie naszego Pana Jezusa Chrystusa, który w swojej dobroci przyjmie nas, osądzi według swego wielkiego miłosierdzia i poprowadzi nas — czego życzę sobie i tobie, drogi czytelniku — od utrapień życia do błogosławionej wieczności, abyśmy chwalili Go i błogosławili na wieki wieków. Amen.

Z dodatkiem o łaskach otrzymanych za jego wstawiennictwem, opracowanym przez ks. Giovanniego Bosco

Wydanie czwarte, poszerzone, Turyn, 1878, Salezjańska Drukarnia i

Księgarnia, Sampierdarena — Nicea

[1]Czytaj: *rolnicy. Błąd* drukarski pochodzi z wydania czwartego *(przyp. red.).*

[2]Dawniej miejscowość nazywała się Castelnuovo di Rivalba, ponieważ podlegała hrabiom Biandrate, panom tego miejsca. Około roku 1300, po zdobyciu jej przez mieszkańców Asti, zaczęto ją nazywać Castelnuovo d'Asti. — W owym czasie była bardzo ludna; mieszkali tam ludzie pracowici i szczególnie oddani handlowi, który prowadzili w różnych miastach Europy. Była ojczyzną wielu znakomitych mężów. Sławny Giovanni Argentero, zwany wielkim *lekarzem* swojego stulecia, urodził się w Castelnuovo d'Asti w 1513 roku i napisał wiele dzieł świadczących o rozległej erudycji. Był bardzo pobożny i wielce oddany czci wielkiej Matki Bożej; ku Jej czci wzniósł kaplicę Matki Bożej Ludowej w kościele parafialnym św. Augustyna w Turynie. Jego ciało pochowano w katedrze z zaszczytnym napisem, który można oglądać do dziś. — Wielu innych ludzi rozsławiło tę miejscowość. W czasach bliższych nam żył kapłan Giuseppe Cafasso, mąż nader godny pochwały z powodu pobożności, wiedzy teologicznej i miłości wobec chorych, więźniów, skazanych na śmierć i wszelkiego rodzaju nieszczęśliwych. Urodził się w 1811 roku i zmarł w 1860. (Zob. Casalis, *Dizionario.) (a)*. — * Dla wygody czytelników przypominamy, że mila piemoncka odpowiadała 2,466 km *(przyp. red.).*

[3]Mówi się Riva di Chieri, aby odróżnić tę miejscowość od innych o tej samej nazwie; leży ona cztery kilometry od Chieri. Dyplomem z 1164 roku cesarz Fryderyk nadał hrabiemu Biandrate zwierzchnictwo nad Riva di Chieri. Później miejscowość została przekazana mieszkańcom Asti. W XVI wieku przeszła pod panowanie dynastii sabaudzkiej. — Monsignor Agostino della Chiesa i Bonino w swoim *dziele* biograficzno-medycznym obszernie mówią o wielu wybitnych osobach, które się tam urodziły *(a)*.

[4]Kapelanem tego przysiółka był wówczas ks. Giovanni Zucca z Moriondo, obecnie mieszkający w swojej rodzinnej miejscowości *(a)*.

[5]Mondonio, zwane także Mondomio albo Mondone, jest małą miejscowością liczącą około 400 mieszkańców, oddaloną o dwie mile od Castelnuovo d'Asti, z którym ma dogodną łączność dzięki drodze przeprowadzonej niedawno tunelem przez wzgórze. — Wzmianki o tej miejscowości sięgają roku 1034. Na mocy traktatu w Cherasco z 1631 roku przeszła pod panowanie dynastii sabaudzkiej. (Zob. Casalis,

Dizionario.) (a). — Tę notę historyczną Autor dodał w wydaniu czwartym.

[6]Ks. Giuseppe Cugliero, po kilku latach pełnienia funkcji beneficjalnego kapelana w Pino di Chieri i po przykładnym życiu, spoczął w Panu w tej samej miejscowości *(a)*.

[7]Łąki te są dziś całkowicie zabudowane, a miejsce owego zajścia odpowiada terenowi, na którym stoi kościół parafialny św. Barbary (a). *(Nota dodana w wydaniu piątym.)*

[8]Koronka ta znajduje się w wielu książkach, między innymi w *Giovane Provveduto (a).*

[9]LUIGI COMOLLO urodził się w Cinzano w 1818 roku i zmarł w 1839, w opinii szczególnej cnoty, w Seminarium w Chieri, w wieku 22 lat. Żywot tego wzoru dla młodzieży wydrukowano po raz drugi w pierwszym roczniku „Czytanek *Katolickich" (a).*

[10]Jednym z tych, którzy najskuteczniej pomagali Dominikowi Savio w założeniu Towarzystwa Niepokalanego Poczęcia i opracowaniu jego regulaminu, był Giuseppe Bongioanni. Osierocony zarówno przez ojca, jak i matkę, został polecony przez ciotkę Dyrektorowi Oratorium, który z miłością przyjął go w listopadzie 1854 roku. Miał wówczas siedemnaście lat i, zmuszony okolicznościami, przybył niechętnie, z umysłem jeszcze pełnym światowych próżności i pustych uprzedzeń w sprawach religii. Jednak działanie łaski Bożej było w nim wyraźnie widoczne, ponieważ w krótkim czasie bardzo przywiązał się do domu, regulaminu i Przełożonych; stopniowo poprawił swoje poglądy i z całym zapałem oddał się zdobywaniu cnoty i praktykowaniu pobożności. Obdarzony bardzo przenikliwym umysłem i wielką łatwością uczenia się, został przeznaczony do studiów. Z niezwykłą szybkością ukończył nauki klasyczne z doskonałymi wynikami. Obdarzony żywą wyobraźnią, wykazywał wielkie zdolności poetyckie zarówno po włosku, jak i w dialekcie; podczas gdy w poufałej rozmowie bawił przyjaciół improwizacjami na tematy humorystyczne, przy biurku pisał piękne wiersze, z których wiele opublikowano, jak ten ku czci Maryi Wspomożycielki rozpoczynający się: Salve, *Salve, pietosa Maria itd.,* znajdujący się w *Giovane* Provveduto.

Po obraniu drogi duchownej przez cały okres formacji kleryckiej zawsze wyróżniał się pobożnością, wiernym zachowywaniem regulaminu i gorliwością o dobro kolegów. Wyświęcony na kapłana w 1863 roku, z niewypowiedzianym zapałem

oddał się świętej posłudze. Chociaż nie był szczególnie obdarzony pod względem głosu, w przepowiadaniu okazał się tak ujmujący dzięki wartości treści i namaszczeniu sposobu mówienia, że słuchano go bardzo chętnie i osiągał obfite owoce.

Po tym, jak pomógł Dominikowi Savio, z którym łączyła go święta przyjaźń, w założeniu Towarzystwa Niepokalanego Poczęcia, jeszcze jako kleryk założył za pozwoleniem Przełożonego inne stowarzyszenie ku czci Najświętszego Sakramentu. Jego celem było szerzenie kultu wśród młodzieży oraz przygotowywanie wychowanków szczególnie wyróżniających się cnotą do służby przy świętych czynnościach, tworząc w ten sposób Małe Duchowieństwo, aby zwiększyć ich godność i piękno. Gdy został kapłanem, nadal rozwijał to stowarzyszenie z jeszcze większą aktywnością i znakomitymi rezultatami. Można słusznie powiedzieć, że jeśli Zgromadzenie św. Franciszka Salezego mogło już dać Kościołowi znaczną liczbę sług ołtarza, w dużej mierze zawdzięcza to świętej trosce ks. Bongioanniego o Małe Duchowieństwo.

W 1868 roku, gdy zbliżał się czas konsekracji kościoła wzniesionego na Valdocco ku czci Maryi Wspomożycielki, ks. Bongioanni pracował ze wszystkich sił nad przygotowaniem tego, co było potrzebne do tej uroczystości, zwłaszcza nad przygotowaniem Małego Duchowieństwa, aby budująco spełniło swoją rolę w dniu święta i podczas następującej po nim oktawy, która również miała być obchodzona w sposób nadzwyczajny. Pochłonięty gorącą miłością do Najświętszej Dziewicy, nie szczędził troski, pracy ani wysiłku, szczególnie w wigilię, 8 czerwca tego roku. Maryja Wspomożycielka, przyjmując jego gorliwe nabożeństwo i hołd, szybko wyjednała mu nagrodę. Najpierw jednak zechciała poddać go próbie, która przyjęta z poddaniem z pewnością przyniosła dobremu kapłanowi wielką zasługę. Ten, który tak ciężko pracował dla powodzenia obchodów, zachorował 9 czerwca, w dniu konsekracji, tak że nie mógł wstać z łóżka. W następnych dniach choroba trwała nadal. Pragnąc choć raz odprawić Boskie Tajemnice w nowym kościele, gorąco błagał Najświętszą Dziewicę o wyjednanie tej łaski. W niedzielę w oktawie poczuł taką poprawę sił, że po odpowiednim przygotowaniu mógł podejść do ołtarza i odprawić Mszę świętą ku ogromnej pociesze swego serca. Po Mszy powiedział kilku przyjaciołom, że jest tak szczęśliwy, iż może już zaintonować Nunc dimittis. *I tak się stało;* czując odpływ sił, wrócił do łóżka i już więcej nie wstał. W następną środę, gdy oktawa dobiegła końca, odprawiono nabożeństwo żałobne za zmarłych dobrodziejów; po południu, gdy zakończono wszystkie czynności i uroczystości, młodzi wychowankowie różnych kolegiów, którzy przybyli na święto, rozjechali się

do swoich miejsc.

Godzinę później ks. Giuseppe Bongioanni, umocniony pociechami religii, wspomagany przez ukochanego Dyrektora i otoczony gronem najdroższych przyjaciół oraz współbraci, oddał piękną duszę Panu, udając się — jak mocno ufamy — aby zobaczyć, jak w niebie obchodzą święto Tej, która była przedmiotem jego najczulszego nabożeństwa *(a)*.

[11]Czytaj: 29 grudnia 1855 roku. *(Przyp. red.)*

[12]Kapłan i teolog Carlo Valfrè urodził się w Villafranca di Piemonte 23 lipca 1813 roku. Z prawdziwie przykładnym postępowaniem i pomyślnym wynikiem odbył studia i, idąc za swoim powołaniem, obrał stan duchowny. Z apostolską gorliwością przez wiele lat pracował w świętej posłudze, aż w konkursie został uznany za godnego parafii w Marmorito.

Był niestrudzony w wypełnianiu swoich obowiązków. Nauczanie ubogich dzieci, pomoc chorym i wspieranie ubogich stanowiły znamiona jego gorliwości. Pod względem dobroci, miłości i bezinteresowności mógł być stawiany za wzór każdemu kapłanowi sprawującemu troskę o dusze.

Ilekroć obowiązki parafialne mu pozwalały, udawał się gdzie indziej głosić rekolekcje, tridua, nowenny i podobne nabożeństwa. Pan błogosławił jego trudom, które zawsze były uwieńczone obfitym owocem.

Lecz właśnie w chwili, gdy najbardziej go potrzebowaliśmy, Bóg uznał go za dojrzałego do nieba. Po krótkiej chorobie, umierając śmiercią sprawiedliwego, przeszedł do życia błogosławionego w pięknym wieku 47 lat, 12 lutego 1861 roku.

Ta strata pozbawiła Kościół godnego sługi, a Marmorito pasterza, którego słusznie nazywano ojcem swego ludu; wielką pociechą dla nas wszystkich jest jednak nadzieja, że zyskaliśmy dobroczyńcę u Boga w niebie *(a)*.

[13]Tym mianem określał książkę przeznaczoną w całości dla młodzieży, zatytułowaną: Il Giovane *Provveduto per* la pratica de’ suoi doveri, degli esercizi di cristiana pietà, per la recita dell’uffizio della B. Vergine, dei vespri di tutto l’anno e dell’uffizio dei morti, itd. *(a).*

[14]Leone Cocchis, uczeń drugiej retoryki, młodzieniec rokujący piękne nadzieje, zmarł 25 marca 1855 roku w wieku 15 lat *(a)*.

[15]Ta cześć dla młodego Savio i zaufanie do niego znacznie wzrosły po niezwykłej relacji złożonej przez ojca Dominika, który jest gotów potwierdzić swoje słowa w każdym miejscu i w obecności każdej osoby. Opowiedział on rzecz następująco:

„Utrata tego mojego syna — mówi — sprawiła mi najgłębszy ból, który jeszcze bardziej potęgowało pragnienie dowiedzenia się, co stało się z nim w przyszłym życiu. Bóg zechciał mnie pocieszyć. Około miesiąca po jego śmierci, pewnej nocy, po tym jak długo nie mogłem zasnąć, wydało mi się, że sufit pokoju, w którym spałem, otworzył się szeroko i tam, pośród wielkiego światła, ukazał mi się Dominik z uśmiechniętą, radosną twarzą, a zarazem o majestatycznym i dostojnym wyglądzie. Na ten zdumiewający widok byłem jakby poza sobą. „O Dominiku! — zacząłem wołać — mój Dominiku! Jak się masz? Gdzie jesteś? Czy jesteś już w Raju?” „Tak, ojcze — odpowiedział — naprawdę jestem w Raju!” „Ach! — odpowiedziałem — jeśli Bóg udzielił ci tak wielkiej łaski, że możesz cieszyć się szczęściem nieba, módl się za swoich braci i siostry, aby i oni pewnego dnia mogli do ciebie przyjść”. „Tak, tak, ojcze — odpowiedział — będę prosił Boga za nimi, aby pewnego dnia i oni mogli przyjść do mnie i cieszyć się ogromnym szczęściem nieba”. „Módl się także za mnie — odpowiedziałem — módl się za twoją matkę, abyśmy wszyscy zostali zbawieni i pewnego dnia znaleźli się razem w Raju”. „Tak, tak, będę się modlił”. Powiedziawszy to, zniknął, a pokój pogrążył się w ciemności jak wcześniej”.

Ojciec zapewnia nas, że po prostu mówi prawdę, i oświadcza, że ani wcześniej, ani później, czy to na jawie, czy we śnie, nigdy nie został pocieszony podobnym ukazaniem się *(a)*.